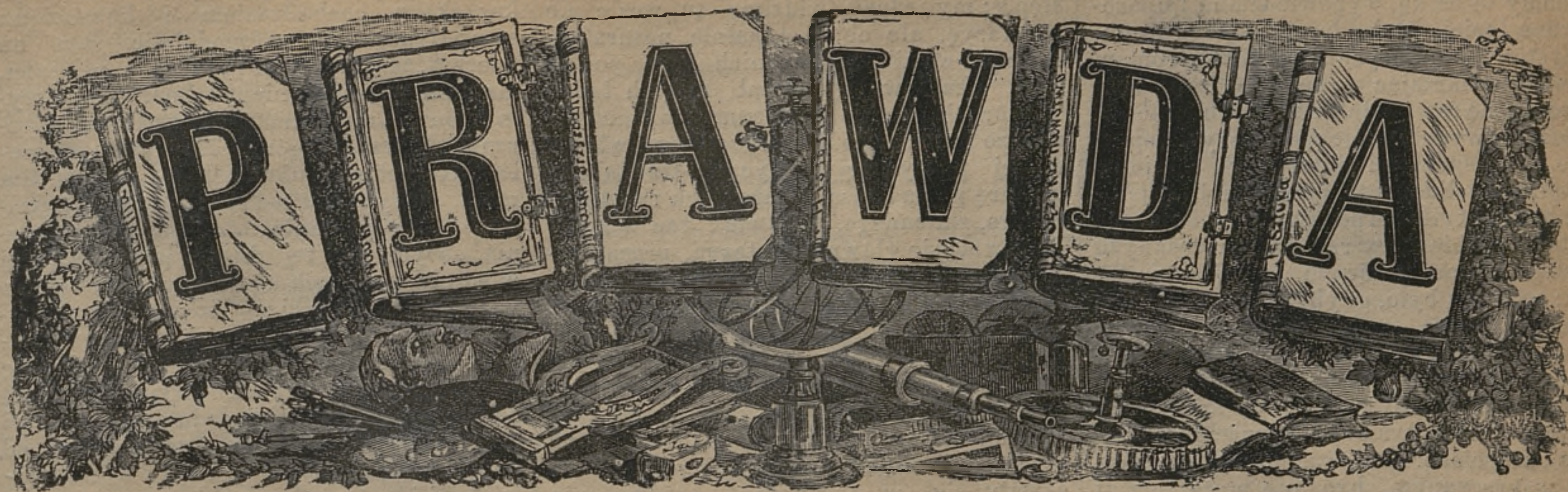
№ 18. Warszawa, dnia 5 Maja (23 Kwietnia) 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

RUCH WSTECZNY.

„Bodajby ta nowela szkolna nigdy nie była się narodziła" —tak zaklął korespondent wiedeński jednej z zagranicznych gazet polskich, czcząc tryumf prawicy a więc i koła polskiego, które do przepchnięcia tego sromotnego anachronizmu przez Radę państwa pomogło.

Kilkakrotnie zaznaczaliśmy już dawniej smutną konieczność, zmuszającą delegatów galicyjskich do związku z klerykalnym odłamem austryackiej Izby. Tem nie mniej powtórzyć musimy wraz z owym korespondentem: bodajby ta nowela nie była się narodziła. Co ona kosztuje polaków — obliczyć łatwo. Naprzód naraża ich na straty cywilizacyjne. Osłabienie przymusu kształcenia się (patrz nr. 6-ty *Prawdy* z r. 1882), skrócenie czasu nauki obowiązkowej, oddanie szkoły pod znany z swych skutków wpływ duchowieństwa, wszystko są to straty, które sprowadzają wodę na młyn klerykalizmu, ale przyprawiają narody o umysłowe bankructwo. Jak wiadomo, paragraf ustawy, wymagający wspólności wyznania między nauczycielem a większością uczniów, Galicyi nie dotyczy, głosowanie wszakże jej przedstawicieli za prawem, które ją oszczędzi a inne ludy przygniecie, jest drugim moralnym minusem Koła polskiego, który jego sumienie brzydkim grzechem obciąża. Z tej usługi galicyan w przeprowadzeniu obrzającej noweli szkolnej, z tego ich handlu na szkodę innych lewica (liberalizm niemiecki) już skorzystała w sposób niemiłosierny. Z jej pogróżek, wymysłów, napaści niepoczytalne pisma nasze drwią, naigrawając się z *ira sine viribus*. Kto jednak głębiej w tę sprawę spoglada, uśmiechu i okrzyków tryumfalnych się zrzeka. Zaiste niema czego oklaskiwać i niema z czego być dumnym. Zatamowanie oświaty nie powinno znowu tak bardzo poddzierać jej sprawcom nosów do góry a stopień zwycięstwa nie wlewa takiej otuchy, ażeby po niem można było biwakować radośnie. Nowela szkolna przeszła w Radzie państwa większością 3 głosów, w których było aż 5 ministeryalnych. Na takiej podstawie oparty rząd jutra nie czeka spokojnie.

Rozumiemy i w znacznej części podzielamy wszystkie względy polityczne, które galicyan zmusiły do tego fatalnego kroku; trzeba z wilkiem zawierać sojusz, jeśli wilk staje się pomocnym. Ale pytanie, czy Koło polskie usiłowało przeszkodzić wniesieniu owej nieszczęsnej noweli i zapobiedz próbie, na którą musiało się narazić i z której wyszło poszarpane w swej czci i obryzgane błotem? Nie słyszeliśmy. Zaofiarowawszy raz swe usługi prawicy, nie ścieśnia ono jej wstecznych ruchów i staje zawsze w pogotowiu z posiłkami do ataków na zdobycze cywilizacyi. Rząd, nie mając zapewnionej pomocy delegatów galicyjskich, nie odważyłby się wnieść ustawy szkolnej, którąby mu przygotowała porażkę a za nią upadek. I gdyby przynajmniej za te usługi Galicya wytargowała sobie jakieś znaczne przywileje! Bynajmniej, jej dzienniki jęczą na pokrzywdzenie i niemożność zdobycia praw, innym krajom monarchii już dawno przyznanych. W ofierze zatem jej przedstawicieli jest więcej bezinteresownej kompromitacyi, niż rzeczywistego zysku. Owa zaś kompromitacya, podkopując moralną a raczej umysłową powagę narodu, mnoży dla niego niebezpieczeństwa na wypadek zmiany sterników państwowych. Dzięki swym (często nieuniknionym) związkom z żywiołami wstecznymi, polacy osiągają w Europie sławę kopalnych mamutów politycznych, którzy z postępem cywilizacyi interesów swych pogodzić nie chcą i nie umieją. W okrzyczanym ich konserwatyzmie tonie całkiem słuszność ich praw i dążeń, pozostają tylko wyszydzone pretensye reakcyjne. Bezwątpienia w odmalowywaniu tego widoku pracuje zaciekła nienawiść niemiecka, nie brak mu wszakże i barw realnych, z życia wiernie zdjętych. Dowodem właśnie świeżo uchwalona nowela szkolna, będąca gwałtem, popełnionym na oświacie a popełnionym przy pomocy galicyan.

Jaka z tych doświadczeń wydobywa się dla nich wskazówka? Konieczność *warunkowego* przymierza z prawicą, kiełznania jej rozpędu reakcyjnego, tłumienia w zarodzie pokuszeń, które chcą powtrzymać rozwój cywilizacyjny państwa lub pojedynczych jego narodów. Dotychczasowe bezwzględne braterstwo z klerykalizmem, popierające go w każdem przedsięwzięciu, wtacza Koło polskie na pochyłość niebezpieczną, która prędzej czy później zsunie je w przepaść. O ile posłowie poznańscy nie mają rozstrzygającego wpływu na uchwały parlamentów, o tyle galicyjscy posiadają ten wpływ bardzo często, nacisk zatem na swe stronnictwo i popierany przezeń rząd wywierać mogą. Bez siły Herkulesowej zdołaliby urwać łeb hydrze szkolnej, której pozwolili wyrosnąć i zyskać władzę niszczenia jednego z najważniejszych dorobków cywilizacyjnych — przymusowo i świecko kształcącej szkoły.

Z TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY.

Znany Sadyk-basza (Michał Czajkowski) po kilkulotniem milczeniu przemówił znowu w *Rusi* szeregiem artykułów, jako bojownik panslawistycznej chorągwi, przywdziawszy napowrót zrzuconą niegdyś

skórę polskiego patryoty. Nieraz już słyszeliśmy tę bajkę, wypowiedzianą i upozorowaną lepiej. Były basza należy do publicystów, hołdujących historyozofii romantycznej; oskarżając przeszłość, zapomina, że to, co się raz stało, odrobić się nie da, że idzie o wynalezienie sposobu życia, opartego na wspólności interesów, a nie na wątpliwej solidarności plemiennej, że polityk buduje tylko na podstawie istniejących faktów, nie biorąc w rachubę ani tęsknych westchnień, ani gorących pożądań na temat: co by to było, gdyby... i co to będzie, jeżeli... Partya, w której obozie walczy obecnie p. Czajkowski, wyraziła swój program polityczny w jednym okrzyku: *do domu!* — co znaczy powrót do form przeżytych, do bizantyzmu, do rozwodu z kulturą europejską. Ponieważ do nas program ten zastosowanym być nie może, brzmi on w wolnym przekładzie: na Wschód!.. Wychodząc ze słusznej zresztą myśli, że katolicyzm nie jest kamieniem węgielnym narodowości polskiej, Czajkowski wpada w przesadę, widząc w nim źródło wszystkich naszych klęsk (chociaż ręczyć nie można, czy z kolei i ta wiara nad wszystkie mu się nie podoba). Według niego katolicyzm oderwał polaków od Słowiańszczyzny i od Wschodu, do którego należeli z pochodzenia, z obyczajów, z przeszłości, z woli bożej—i rzucił ich nie w objęcia, lecz pod nogi Zachodu. Dwóch królów polskich, dwóch Bolesławów (?) czuło ten ważny błąd, walczyli oni mężnie z bronią w ręku, ale nie mieli moralnej odwagi zerwać z wiarą i polityką zachodnią. Odtąd zbici z toru polacy wykierowali się na błędnych rycerzy, na dobrowolnych pionierów anti-słowiańskiej kultury, nie zdołali pochłonąć różnorodnych żywiołów, ani utworzyć silnego państwa. Nie bezrząd był przyczyną złego, ale brak podstaw, które mógł dać tylko Wschód. Dla tego także polacy nie mogli utworzyć jednolitej narodowości. Było to państwo kast, a polonizm prawdziwy istnieje tylko w jednej z nich, prawda najdzielniejszej, ale i najmniej licznej. Taki stan rzeczy wywołał obecne położenie; jedynem lekarstwem w tym wypadku jest powrót do zerwanej w mgle wieków tradycyi, do wiary i obyczajów Wschodu. Niedorzeczność tych majaczeń bije w oczy i od krytyki ich zwalnia.

Ci, co pamiętają w Czajkowskim tylko autora Wernyhory, potępiają go jako odstępcę; my jednak widzimy tu wcale nie apostazyę, ale objaw zupełnie naturalny, logiczny wynik poprzednich jego poglądów. Czajkowski należał do tych ludzi, w których uczucie plemienne, słowiańskie, zawsze przeważało nad narodowem, wbrew naszej politycznej tradycyi, stawiającej kulturę po nad rasą. Charakteru romantycznego, zmiennego, człowiek ten w życiu kierował się głównie fantazyą, przez pryzmat uczucia patrzył na przeszłość i odtwarzał ją nie taką, jaką była, ale taką, jaką ją mieć chciał. Przejście na mahometanizm i propaganda słowiańskiego zjednoczenia pod przewodnictwem Turcyi były zupełnie szczere; ale kiedy przekonał się, że nadzieje, pokładane w muzułmaństwie, ziścić się nie mogą, gdy pod starość ozwały się w duszy jego wspomnienia dzieciństwa i przytłumione uczucie religijne, opuścił Turcyę. Rozczarowanie to jednak nie uleczyło go wcale, owszem w dalszym ciągu zaczął snuć pasmo marzeń, tylko już teraz z innego kłębka. W duchowej organizacyi tego człowieka zawsze było coś wschodniego: wybujała fantazya, skłonność do kontemplacyi, do oderwania się od warunków rzeczywistych, poszanowanie dla siły i powagi. Tej niepohamowanej, szerokiej naturze działalność cicha, skrzętna, ograniczona rozmiarami jednego kraju i szczepu nie wystarczała wcale. Zaczyna więc dalej roić na temat wspólności słowiańskiej, tylko dla tej rozpierzchłej, rozbitej na cząstki masy poszukuje innego środka ciężkości, bo ideałem jego zawsze była nie solidarność równouprawnionych narodowości, ale skupienie rozstrzelonych plemiennych organizmów. Najskrajniejsi z naszych konserwatystów nie przeczuwają nawet, jak ścisłe powinowactwo duchowe łączy ich z p. Aksakowem i jego rzeszą: ta sama mistyczna wiara w swój naród, to samo naiwne apoteozowanie własnej przeszłości i własnych cnót, ta sama wzgarda dla ludzi innej rasy i innej wiary, ten sam brak jasno określonych celów, ta sama wreszcie mazrycielska historyozofia i mglista deklamacya. Czciciele kontusza i rogatywki bezwiednie wyśpiewują te same melodye, co i wielbiciele murmołki i ukośnie zapinanego kaftana.

Przed paru laty Czajkowski, objaśniając swoją przemianę, usprawiedliwiał ją kozackiem pochodzeniem i kozackiemi sympatyami. Prawdopodobnie sam on wierzył, że przyczyna była ta a nie inna, ale nam wierzyć niepodobna. Jego wymarzona, „malowana“ kozaczyzna stworzoną była z góry dla pewnych celów. Kozackiego, ukraińskiego było w nim mało, patryotyzm rodowy, prowincyonalny, oparty na umiłowaniu swego otoczenia, obcym był tej duszy, przebywającej wiecznie w sferach abstrakcyi. Dla tego to właśnie Czajkowski znalazł się dziś w obozie, który zaprzecza prawa istnienia wszelkim odrębnościom szczepowym, stara się je podporządkować i sprowadzić do jednej normy, która nie znosi żadnej rozmaitości etnograficznej, żadnego odstępstwa od przepisanego wzoru, a swój wszechsłowiański ideał gwałtem ubiera w czerwoną koszulę, manszestrowe szarawary i okrągłą, z pawiem piórkiem czapkę.

Od czasu kiedy kwestya uregulowania wzajemnych stosunków dwóch pobratymczych narodów znalazła się na porządku w prasie rosyjskiej, wielu niepowołanych i nieupoważnionych publicystów naszych na ochotnika występować zaczęło w różnych jej organach. Nawet *Nowoje Wremia* postarało się w swoim czasie o polaka, który z komiczną powagą narodowego pełnomocnika traktował z redakcyą o warunkach polsko-rosyjskiego zbliżenia. Obecnie dyrektor panslawistycznej orkiestry zauważył widocznie, że do zupełnej harmonii w chórze potrzeba chociażby jednego polskiego głosu i postanowił brak ten uzupełnić. Wyciągnięto z ustronia zapomnianego starca, uderzono w czułą jego strunę, pozwalając gadać, co mu ślina na język przyniesie, poprawiono styl tych wypracowań i oto dziś moskiewskie filary panslawizmu mają swego własnego polaka, nie byle jakiego, nie podrobionego, ale „znakomitego polskiego patryotę.“ Ci panowie mogliby to samo daleko lepiej powiedzieć, ale wywody ich niemiałyby w pewnych sferach zachodnio-słowiańskich tej moralnej wagi, co słowa „znanego polskiego patryoty.“ Jakże jednak smutny widok przedstawia to niedołężne apostolstwo zdziecinniałego starca, będącego biernem narzędziem w rękach mistrzów swego fachu! Polityczne jego występy odbywają się w *Rusi* raz na dwa ty-

---

3)

Burza w zaciszu

przez

Swetozara Hurbana.

— Nienawidzę pana, panie Erneście — tak zaczęła Herma kazanie, wystosowane do kuzyna a oczy jej błyskały gniewem.

— Ja znów Hermo twierdzę tylko, że cię kocham, kocham namiętnie, chociaż nawet włóczysz się po polach zjakimś tam dyabłem.

— Nasz rechtor jest człowiekiem uczciwym i wykształconym; ma przed sobą cel i to piękny cel.

— Liczyć polana i dzwonić.

— Pan nie masz nawet takiego, panie Erneście! Z ust pana wylatują tylko plotki i pustactwa. A psa szczuć na ludzi zakazuję panu. Jest to barbarzyństwem i dowodzi braku serca.

Herma wypowiedziała te wyrazy głosem podniesionym, który brzmiał pełnie, dźwięcznie, jak odgłos stali.

Pani Orzechowańska weszła do pokoju a z nią wsunął się zapach perfum. Dowiedziawszy się o przyczynie sporu, rozgniewała się na córkę.

— Jesteś wiecznie adwokatem tej wiejskiej zbieraniny; nieraz już zmartwił mię sposób twego obcowania ze służącemi i tym podobną czeladką.

Dzisiejszy postępek zasługuje na karę! Idź do swego pokoju, Hermo! Do wieczora mi się nie ruszysz!

Herma odeszła. Tam leżały jeszcze kwiaty wczorajsze. Główki ich powiędłe nie wydawały żadnej woni. Herma usiadła na sofce i rozpłakała się rzewnie. Surowy głos matki, jej zaciętość zasmuciły dziewczę. Wprawdzie i ona odziedziczyła nieco stanowczości od matki, lecz miała przytem miękkie serce. Jednakże całą gorycz swej duszy wylała na Ernesta, którego jej świat a zapewne i rodzice przeznaczali za małżonka.

Tam na pięknym stoliczku leżały podarunki od niego: amorki porcelanowe, barwisty wachlarz, album i poezye Petöfiego we wspaniałej czerwonej oprawie. Herma, spostrzegłszy te przedmioty, wrzuciła wszystkie na spód szafy od sukien między stare rękawiczki. Powiędłe kwiatki wetknęła do szklanki i postawiła na tualecie. Ta zemsta była dla niej zupełnie dostateczną. Uspokoiła się. Gdyby tu był Mraz, o jakże by się przed nim wyżaliła! Teraz ona nie ma nawet przed kim się poskarżyć.

— Katuszo — krzyknęła nakoniec, otwarłszy drzwi.

Stara sługa przybiegła z pospiechem.

— Co ci to mój gołąbku? — mówiła dobra staruszka w koronkowym czepku — płakałaś mi duszeńko.

— Opowiadaj! Tę o Złotowłosce, opowiadaj Katuszo!

— Ach jakżeby nie miało płakać moje drogie dziecię! — zawołała Kata, spojrzawszy na stół, srocza nóżka w szklance! Ona przynosi ból i smutek. Wyrzuć ją!

— Nie Katuszo, ja chcę bólu, ja chcę smutku. Tylko opowiadaj.

Promienie wieczornego słońca zabłyszczały na szybach okienka. Katusza siadła na krzesełku przy sofce i zaczęła opowiadanie. Bezustanku płynęły proste zdania z ust staruszki. Herma znała wybornie całą powiastkę a nawet często pomagała Kacie, gdy ją pamięć zawiodła. A przecież z jakiem natężeniem, z jakiem współczuciem słuchała! W starej bajce odnalazła nowy urok. Serduszko jej ściskało się z obawy a uradowało się ostatecznem zwycięstwem Złotowłoski.

Już było ciemno, gdy przede drzwiami pokoiku Hermy zaszeleściła suknia jedwabna. Weszła jej matka. Katusza oddaliła się.

Matka usiadła na sofce i ująwszy białą chustkę, zrosiła ją łzami.

— Hermo, nie przyszłaś przeprosić obrażonej matki! Zakrwawiasz nieposłuszeństwem serce moje! Co znaczy ten upór? Zważ sama, co to za postępowanie! Jak możesz się tak poniżać i kompromitować dom nasz? Nawet Klenner jest głęboko

godnie, ale że staruszek lubi dużo gadać, więc w przerwach opowiada swoim dobrodziejom w *Moskowskich Wiedomostiach* zabawne nieraz, chociaż nieprawdopodobne anegdoty tureckie.

J. L. P....

Pierwsze ziarno.

P. Łojko ofiarował 20,000 rs. na przyszły uniwersytet dla kobiet. Nieszczęście mieć chciało, iż w tym samym czasie zdarzył się jakiś wielki jubileusz w teatrze... Patryotyzm nasz powędrował więc, jak zwykle, za kulisy — do aktorek, „zubożałe społeczeństwo“ zajęło się sporządzaniem srebrnych wieńców i napychaniem pugilaresów dla „dobrze zasłużonych na niwie sztuki ojczystej“ i na krótką wzmiankę o hojnym darze obywatela znalazło się zaledwie trochę miejsca w gazetach.

Stłumiwszy w sobie uczucie bólu i wstydu, należy jednak stanąć w obronie sprawy, która, wywołując gdzieindziej tylko uwielbienie, u nas potrzebuje jeszcze rzeczników i obrońców.

Myśl założenia uniwersytetu dla kobiet nie od dzisiaj już kiełkuje wśród lepszych jednostek naszego społeczeństwa, nie od dzisiaj też robak podgryza młode jej korzonki. Lubujące się w ciemnościach wstecznictwo wyrzuciło już z kryjówek swoich ku słońcu kilka pocisków zatrutych, jak zawsze, oszczerstwem i, jak zawsze, wylakierowanych cienką warstwą patryotyzmu. Ten pseudopatryotyczny dynamit wywoływał i wywołuje u nas dotąd pożądaną eksplozyę otumanionej opinii publicznej.

Przed kilku laty grono młodzieży uniwersyteckiej, do którego miałem zaszczyt należeć, udawało się do paru najzacniejszych profesorów z prośbą o radę i wskazówki w sprawie oświaty kobiet. Chodziło nam o jakąś poważną inicyatywę — jeżeli już nie materyalną, to moralną. Profesorowie odpowiedzieli, iż oprócz współczucia nic nam ofiarować nie mogą, gdyż sprawa wyższego kształcenia kobiet jest w najwyższym stopniu niepopularną w oczach naszej sławetnej „opinii.“

Postanowiliśmy osobiście pomówić z tą panią i spytać o co jej chodzi.

Wyszła do nas najprzód w zamorusanym fartuchu kucharskim i rzekła: „Kobieta powinna być kapłanką domowego ogniska.“

Zgoda, ale być kapłanką ogniska — nie znaczy być kucharką. Mybyśmy chcieli aby w tem ognisku swojem, prócz możności smażenia kotletów, znalazła kobieta choć iskrę uczuć prawdziwie obywatelskich, aby tę iskrę umiała rozdmuchać w sercach swych dzieci, aby widnokrąg jej myśli objął coś więcej nad stereotypowe formułki konwencyonalnych obowiązków. Pragnęlibyśmy, aby żona nie była hamulcem szlachetnych uniesień męża, aby umiała poświęcić dla dobra ogółu korzyści dwuznacznej karyery, aby umysł matki o całe niebo wyższym był od umysłów dzieci, aby nie potrzebowała ona rumienić się wobec wiedzy syna-gimnazisty.

„Ale obawiam się, że uniwersytet *zdemoralizuje* nasze dzieweczki.“ Przy tych słowach *opinia* okryła się rumieńcem i spojrzała ukradkiem na najpiękniejszego z akademików...

Przeciwnie — światło nauki może tylko umoralnić nasze kobiety. Znikną wprawdzie owe rozkoszne pieszczotki, rzucające się wprost z ławki pensyonarskiej w objęcia zgrzybiałych, byle bogatych adonisów, zmniejszy się znacznie ruch towarowy na wszystkich rynkach małżeńskich, ustanie owa ohydna licytacya uczuć i wdzięków. Nędza nie będzie wprzęgała naszych dziewcząt do niemiłego jarzma. Równość ukształcenia, zmieniając stanowisko społeczne kobiety, wpłynie dodatnio na jej charakter i pozwoli jej iść za głosem serca i rozumu. Niemające rodziny nie będą potrzebowały rozpustą dopomagać swej pracy.

„Uniwersytet zarazi nasze kobiety kosmopolityzmem.“ To był kulminacyjny zarzut naszej „opinii.“

Logika dzika. Dla czegoż to uniwersytet warszawski miałby zrobić to, czego nie dokonały wszystkie wyższe zakłady Cesarstwa lub zagranicy, gdzie kobiety nasze pobierają nauki? Jakże wstrętnym jest ten nasz zgrzybiały, bojący się światła patryotyzm!

Wyjdź że raz niedołęgo z katakumb! Rozwiń skrzydła, jeżeli ci w pleśni nie zgniły jeszcze i idź tam, gdzie życie ciepłem swem cię rozgrzeje i światłem ozłoci. Biedny Mickiewicz! On w swojej pieśni do serc młodych chciał zmienić świata porządek, a my dzisiaj na widok chińskiej gramatyki dostajemy śmiertelnych dreszczy i chowamy się pod ziemię. Z tem wszystkiem mamy śmiałość nazywać poetę naszym Mickiewiczem...

Czyż zawsze będziemy szukali blasku w łachmanach i życia w trupiarni?

Dziś, kiedy na niwę pobożnych życzeń młodzieży upadło pierwsze ziarno czynów z hojnej dłoni ofiarodawcy, dzisiaj postanowiłem opowiedzieć czytelnikom o naszej niegdyś rozmowie z „opinią.“ Zarzuty jej i teraz powtarzają sobie po cichu ultramontanie. Niechże dyskusya będzie jawną i głośną.

Przyszłe wychowanice zakładu nie zechcą na wstępie podkopywać jego powagi w oczach swego społeczeństwa. Będą one miały do spełnienia zadanie podwójne: zdobyć dla siebie zaszczytniejsze, niż dotąd piastują, stanowisko i obronić naukę od pobożnych oszczerstw... Wobec tej drugiej połowy zadania powstrzymają się więc zapewne nawet od tak niewinnych oznak emancypacyi, jak strzyżenie włosów, noszenie gładkich kapeluszy itp. Wszak dając pigułkę dzieciom robi się wszelkie możliwe ustępstwa, byle tylko chciały przyjąć lekarstwo...

Obszerniejsze i bardziej naukowe traktowanie niektórych gałęzi wiedzy w uniwersytecie miałoby i ten jeszcze błogi skutek, że przyprowadziłoby do normalnego stanu program naszych żeńskich pensyj prywatnych, z których najlepsza nawet musi być dziś z konieczności — lamusem naukowej norymberszczyzny. Przeniesienie do szkoły wyższej przedmiotów trudniejszych dałoby zakładom średnim możność rozszerzenia u siebie zakresu nauk matematycznych, co, jak sądzę, najskuteczniej wpłynęłoby na wykorzenienie w naszych pannach owej miłej cechy, zwanej grzecznie przez poetów „dziewiczą naiwnością.“ Nakoniec po założeniu uniwersytetu uwolnilibyśmy się przecie od tych nieznośnych pseudo-sawantek, które, zaznajomiwszy się na pensyi z jakąś cząstką terminologii naukowej — zdradzają

---

obrażony twem niepojętem zachowywaniem się. Dziewki wiejskie łażą za tobą a gdy je kto wypędza, ty dąsasz się i kłócisz z rodziną. Przywołujesz do domu rechtora ze wsi, który nie powinienby przekroczyć naszego progu! Ojciec twój powiada, że on jest panslawistą i zdrajcą. Czyż nie pojmujesz, jak zgubnymi są twoje plebejuszowskie kaprysy?

Herma załkała.

— Ależ mamo, nie mogę przecie zawołać barona, żeby mi nastroił fortepian?

— O tem niema mowy, lecz chodzi o sposób, w jaki obcujesz z ludźmi tego rodzaju. *Jean* *) powiada, żeś córkę zakrystyana pocałowała w czoło! Czyż to przystoi jedynej córce Orzechowańskich?

Łzy przeszły a złośliwy gniew przenikał głos baronówny.

Hermie o mało serce nie pękło. Żal matki rozbroił ją. Stała się miękką i powolną. Całowała gorąco jej rękę i prosiła o przebaczenie, chociaż nie poczuwała się do żadnej winy, tylko że zasmuciła matkę.

Orzechowańska powstała z sofki i wyprowadziła córkę z jej więzienia. Spokój zapanował w domu. Herma przyczesała włosy i przez cały wieczór słuchała cierpliwie gładkich słówek Ernesta. Przed pójściem na spoczynek pochwycił ją za rękę.

— Mamy dziś noc księżycową, pójdź Hermo na staw?

Herma pozwoliła się prowadzić. Ernest skoczył do łódki i podał jej rękę. Młodzi ludzie odsunęli się od brzegu. Łódka płynęła cicho po gładkiej powierzchni, uderzenia wioseł rysowały na wodzie rozbiegające się koła. Niedaleko od altanki Ernest przestał wiosłować.

— Uważaj Erneście — zabrzmiał głos Karola Orzechowańskiego — czółno się cokolwiek przechyla.

— Nie kłopocz się wujaszku — odpowiedział Klenner. Głos jego drżał.

— Hermo już, czas abyśmy się porozumieli! Nie jest dla ciebie tajemnicą, w jakim celu przybywam do tego zakątka! W tej pustelni słowackiej kwitnie wonna róża! Tą różą jesteś ty Hermo. Rodzice moi pragną mnie widzieć żonatym, jest to życzeniem ich dogasającego żywota!

Klenner umilkł. Hermie nasunął się mimowoli obraz Marysi poszczutej psami. Dreszcz przebiegł powabne, świeże ciało dziewczyny.

— Lecz na co słów tyle. Ja cię ubóstwiam Hermo! Z wielkiego miasta, przywabia mię piękna twa postać tutaj do pustych Orzechowan! Wyjdź wraz ze mną z tej martwoty do życia!

Ernest przykląkł na jedno kolano i uchwycił Hermę za kształtne ramię.

Serce dziewczyny biło szybko. Domyślała się wprawdzie, czego Klenner szuka w Orzechowanach: a jednak proste wyznanie miłości, pierwsze w jej życiu, zadziwiło ją. Krew wystąpiła jej na twarz, tętna na skroniach uderzały gwałtownie.

— Pójdźmy na brzeg! — wyrwało się ze ściśnionych piersi dziewiczych.

— Aż po twej odpowiedzi, kochanko moja, Hermo najdroższa!

Łódka zatrzymała się u brzegu altanki, stojącej wpośród stawu. Trzcina zaszumiała. Herma, pobudzona jakimś smutkiem wewnętrznym, wyskoczyła.

Łódka odbiła się od schodów, Herma pozostała na nich sama.

Wbiegła do altanki. Tam padłszy na kolana, położyła głowę na słomianym krzesełku. Dotknięcie ręki Ernesta paliło ją w ramię. Nigdy jeszcze nie uczuła coś podobnego. Poważne, otwarte oblicze Macieja Mraza powstało nagle w jej wyobraźni. Te szczere rozumne oczy zdawały się ją przestrzegać!

— Nie bądźże dzieckiem — zawołał Ernest, który tymczasem przyparł łódkę do schodków. Głos jego zabrzmiał jakoś surowo w uszach Hermy.

Opamiętała się i weszła do łódki.

— Do domu dzieci — zawołał z brzegu Karol Orzechowański, któremu już sen kleił powieki.

Po kilku poruszeniach wioseł łódka stanęła u brzegu. Ernest objął Hermę wpół i wyniósł na brzeg.

---

*) Zwykle imię lokaja; w Czechach arystokracya używa prawie zawsze imienia *Johann*, choćby tak nazywany nosił inne.

usposobienia myszy, zjadającej stare kalendarze.

Co do samej szkoły dla kobiet, to powinna ona odpowiedzieć dwóm głównie warunkom: 1) zaspokoić musi najgwałtowniejsze wymagania chwili i 2) pociągnąć za sobą koszta, jak można najmniejsze.

Najważniejszą potrzebą dzisiejszą jest— odnośnie do kobiet samych — otworzenie dla nich lepszego źródła zarobku, odnośnie zaś do społeczeństwa — dostarczenie mu jak największej liczby wykształconych wychowawczyń wogóle a nauczycielek w szczególności. Stosownie do tego szkoła, na początek, mogłaby się składać z dwóch wydziałów: lekarskiego i nauk humanitarnych z poważnym uwzględnieniem *pedagogiki*. Wiedza przyrodnicza uprawianą byłaby o tyle, o ile się ją pospolicie traktuje w medycynie; przyczem taki przygotowawczy kurs nauk naturalnych mógłby być *obowiązującym* dla *wszystkich* studentek.

Koszta założenia i utrzymania uniwersytetu można byłoby sprowadzić do możliwych granic oszczędności. Zanim stosownego pozwolenia władza udzieli kapitał Łojki wzrośnie o tyle, że odsetki z niego dadzą około 1,500 rocznie. Jeżeli — dalej— opłatę wpisu oznaczymy na rs. 50, jeżeli tylko 100 uczennic z niej się uiści, a taka liczba studentek znajdzie się napewno, to już stały dochód roczny wyniesie 6,500 rs. Chciałbym także rachować na ofiarność naszą i myślę, że gdy pozwolenie zbierania składek się wyjedna — rachuba moja płonną nie będzie. Toć nie damy się wyprzedzać innym miastom, np. Moskwie, i w miarę sił naszych postaramy się jej dorównać. Zresztą kilka lub kilkanaście stosownie urządzonych odczytów przyniosłoby młodej instytucyi sporo grosza na opędzenie pierwszych wydatków.

Profesorowie uniwersytetu zechcą zapewne oświecać nasze „wydziedziczone“ za mniejsze wynagrodzenie, jak to robią w Petersburgu, na kursach Bestużewa. Nie miałaby też taka szkoła żadnej krzywdy, gdyby w niej, w charakterze docentów, mogli przemawiać nasi prywatni pedagogowie, którym los dotychczas pozwalał obejmować jedną tylko katedrę — w sali Ratusza.

Istniejących już dzisiaj gabinetów: mineralogicznego, fizycznego, zoologicznego, zootomicznego i archeologicznego, nikt zapewne przed studentkami zamykać by nie chciał. Wykłady w klinikach chorób ogólnych mogłyby być prowadzone wspólnie ze studentami; w pewnych zaś wypadkach możnaby je było urządzać osobno — niewielkim nakładem. Zresztą — na razie moglibyśmy się nawet wyrzec medycyny— byle tylko już był początek. Skoroby powagi ujrzały, iż studentki nie zjadają niewiniątek, to może serca i kieszenie publiczności szerzejby się dla nich otwarły...

Należy mieć nadzieję, iż znajdą się wśród nas tacy, co będą mogli i zechcą sprawę oświaty naszych kobiet u władzy wyższej popierać.

J. K. Potocki.

SOCYALIZM FRANCUSKI.

Jeden z korespondentów naszych zarysował już raz w *Prawdzie* obecną postać socyalizmu francuskiego. Takiż sam obraz lubo nieco odmiennie skreśliła jedna z gazet niemieckich *Frankf. Zeitung*, której wywody przedstawimy czytelnikom naszym jako świadectwo w wielkim procesie, toczącym się przed trybunałem sumienia i rozumu ludzkiego.

Według tego dziennika, socyalistyczna idea państwowa zrobiła w ostatnich czasach we Francyi znaczne postępy. Nie znaczy to wcale, żeby socyaliści wzmogli się w liczbę lub dokładniej przeprowadzili organizacyę stronnictwa, przeciwnie, rozstrzelając się na coraz liczniejsze grupy, partya nie wiele urosła ilościowo. Ale natomiast koła rządzące przyszły do przekonania, że w interesie społeczeństwa, dla uniknienia w przyszłości większych niebezpieczeństw, należy uwzględnić niektóre uzasadnione wymagania socyalistów. Nawet mieszczańskie ministeryum Ferrego siłą okoliczności zmuszonem zostało do pewnych ustępstw i przedstawiło parlamentowi pewne projekty reform społecznych.

Socyaliści francuscy dzielą się na trzy grupy: blanquistów, kolektywistów i anarchistów. Pierwsi z nich, prawowierni spadkobiercy jakobinów, chcą pozostać ludźmi czynu, a idąc za przykładem mistrza, nie myślą wcale o sformułowaniu swego programu, sądząc, że rozprawy wywołać tylko mogą rozdwojenie. Hołdując zasadzie dyktatury, składają oni karną, ściśle zjednoczoną grupę. Charakterystycznym jej rysem jest cześć dla zmarłego mistrza; corocznie, w rocznicę jego śmierci, urządzają obchód, zaznaczając tym sposobem swe istnienie. Z przywódzców tej partyi jeden tylko Eudes (były generał Komuny) znanym jest w szerszych kołach; inni (Cournet, Granger, Faillant, Wynaud) mają rozgłos tylko między swymi zwolennikami. Organ blanquistów *Ni dieu ni maître* upadł dla braku kapitału i abonentów.

Kolektywiści natomiast mają dosyć szczegółowo wypracowany program; uważają się oni za przedstawicieli stanu czwartego i marzą o dokonaniu odnośnie do kapitalistów takiego przewrotu, jakiego dokonało niegdyś mieszczaństwo wobec szlachty i duchowieństwa. Teoretyczne podstawy ich programu zgadzają się mniej więcej z poglądami Marksa. Największym ich wrogiem jest kapitał, z którym praca znajduje się, zwłaszcza od czasu zastosowania pary. w ciągle rosnącej sprzeczności.

Dzisiaj — według nich — istnieją tylko dwie klasy ludności: kapitaliści, osiągający dobrobyt za pomocą wyzyskiwania pracy innych, i robotnicy, którzy przy najlepszych nawet warunkach mogą otrzymać jedynie liche zabezpieczenie starości. Opierając się na zdaniu Marksa, że kapitał jest niezapłaconą pracą, twierdzą, że robotnik musi połowę swych sił oddać za darmo pracodawcy. Przedsiębiorca wymaga jaknajwięcej usług za jaknajmniejszą płacę; przeciwnie, interesem robotnika jest otrzymanie maximum wynagrodzenia za minimum usług. Z tej sprzeczności interesów wynika wojna klas, bezrobocia i rewolucye proletaryatu. Ale interes przedsiębiorcy zwykle bierze górę wskutek współzawodnictwa w zaofiarowaniu pracy, zarobek robotników spada do minimum, niezbędnego dla zaspokojenia pierwszych potrzeb. Podczas gdy współzawodnictwo robotników zniża ich płacę, konkurencya przedsiębiorców rujnuje klasy średnie. Statystyka wykazuje, że liczba patentów prze-

---

Nie spała przez noc całą. Rano przyszła matka z wiadomością, że Ernest Klerner prosił o jej rękę. Starej szlachcie jego wypadły bardzo w porę. Małżeństwo będzie najlepszem lekarstwem na tę chorobę plebejuszowską. Klerner jest człowiekiem z wielkiego świata, szlachcic i cavalier. Co się tu namyślać.

Doniesienie matki nie zadziwiło Hermy a jednak zbladła. Wielkie jej oczy nabrały jakiegoś blasku niezdrowego, prześliczne rysy uduchowiły się i jakby dojrzały. Zanurzyła twarz w białej poduszce, a wielkie warkocze spadały do ziemi. Ciężką, głęboką skargą zaniosła się czysta pierś dziewicza...

Matka tłomaczyła sobie gwałtowny płacz córki na swoją korzyść. Odeszła i posłała do niej ojca.

— Hermuszko, narzeczony zgłasza się po ciebie — mówił z uczuciem pan Karol, a nie można mieć nic przeciw niemu. Czekamy wraz z matką tylko na twoje przyzwolenie! No, no Hermeczko, po co te łzy! Miejże rozum, wszak jesteście krewnymi i znajomymi od dzieciństwa! Co za przesadzone czułostki!

Położył rękę na głowie córki. ona ją pochwyciła i serdecznie pocałowała.

— Ale na cóż to wszystko Hermo! Uspokój się! — rzekł i spiesznie odszedł. Nie był wcale zwolennikiem sentymentalnych wzruszeń.

Na duszę dziewczyny padł jakiś cień. Była zupełnie bezradną. Nie znała siebie, nie znała swego serca. Jej rozum nie skrystalizował się i nie upewnił do tego stopnia, aby mógł rządzić wolą. Brakło jej woli, siły chęci lub nie chcieć. Rozwój ciała niezawsze postępuje równo z rozwojem ducha. Zabiegi Ernesta przyszły zawcześnie. On ręką światową sięgnął niemiłosiernie aż do samego nurtu delikatnych uczuć dziewiczych. Ton tych uczuć była taki czysty, nietknięty, żaden obcy promień nie prześlizgnął się po jej powierzchni. Propozycya Klernera zniweczyła nagle błogi spokój snów panieńskich. Surowość życia owionęła ją mroźnem swem tchnieniem.

— Katuszo — rzekła Herma, przytuliwszy się do swej mamki — połóż mi rękę na czole!

Katusza usłuchała młodej swej pani.

— Masz główkę chłodną, gołąbeczko, złota, tylko oczki twoje jakoś zamroczone. Ach ty Boże nasz! Pewno miałaś straszne sny! Leżałaś pewnikiem na serdecznej stronie! Nie słuchasz starej Katuszy. Uważ ci lipowego kwiatu z szałwią i czarnym korzeniem. Przyłożysz na czółko bobkowych liści, gołąbeczku!

— Otwórz okno, Katuszo!

— Uchowaj Boże! Wieje wiatr poranny, a ty masz tylko lekki negliżyk.

— Otwórz, mówię ci — rzekła surowo Herma.

— No, niech się stanie po twej woli, duszo moja, ale to niezdrowo.

— Po obiedzie pójdziesz do pana rechtora. Będę go oczekiwała pod wielką lipą za stawem. Nie mów o tem nikomu. Chcę być z nim sama.

— Jak każesz, jak każesz! Pan rechtor jest naprawdę mądry pan, zna zioła; ma w słoikach małe pigułki, któremi już wielu wyleczył. Zuzia Prochaskówna miała duszenie w gardle, tylko jej było umierać! Pan rechtor dał pigułki a za trzy dni się wychorowała! A ciebie co boli, aniołku mój?

Kłuje cię w boku?

— Nie mów tak wiele, Katuszo, głowa mię czasem boli. Spełnij moją prośbę a nie wygadaj się.

— Będę milczała jak grób! Jakżebym ja roznosiła plotki, ja głupia starucha.

— Chcę być samą, Kato — rzekła nakoniec Herma i zakryła twarz rękami. Staruszka wyszła a za drzwiami potrząsnęła poważnie siwą głową. Potem przyłożyła ucho do drzwi.

W pokoju było cicho. Staruszka, szczerze oddana swej młodej, pani strapiła się niezmiernie jej stanem niezwykłym. Nigdy jeszcze nie widziała jej tak podrażnioną. Zaczęła w kuchni gotować swoje ziółka jednakże pokryjomu. Gdy lekarstwo było gotowe, zrobiła nad garnuszkiem znak krzyża i zmówiła Ojcze nasz.

(D. c. n.)

mysłowych zmniejsza się corocznie, co przekonywa, że część przedstawicieli mieszczaństwa przechodzi do szeregów proletaryatu. Wielcy pożerają małych, bo tylko wielkie fabryki mogą tanio wytwarzać i tanio sprzedawać. Płaca nie wznosi się w tym stosunku, w jakim wznoszą się ceny najniezbędniejszych artykułów; ogólny więc wzrost bogactwa narodowego nie wpływa wcale na polepszenie losu klas pracujących.

Wychodząc z tych danych, kolektywiści stawiają następne, praktyczne żądanie: Materyały surowe i narzędzia winny stać się własnością zbiorową. Ale co do sposobów dokonania tego przewrotu rozchodzą się w zdaniach. Jedni nie odwołują się do gwałtu, mniemając, że program ich da się uskutecznić na drodze pokojowej, za pomocą stopniowych reform, a mianowicie przez wysoki podatek od spadków i przekazywanie państwu spuścizn, niemających prawnych dziedziców. Reformiści starają się wpłynąć na mieszczaństwo i skłonić je do dobrowolnych ustępstw. Założycielem tej grupy był Collins, którego dzieła wydają obecnie jego zwolennicy. Partya ta nie jest liczna, ale należą do niej wpływowe osobistości ze sfer mieszczańskich we Francyi i w Belgii. Sztab jej składają: Pignan, Delaporte, Borde, Hugendobler i dwaj Potterowie, ojciec i syn.

Kolektywiści rewolucyjni utrzymują, że proletaryat musi z orężem w ręku zdobyć sobie prawa, podobnie jak mieszczaństwo zdobyło swoje, są oni daleko liczniejsi, ale dzielą się znowu na dwie podgrupy. Jedną z nich jest tak zwana „federacya środka," ulegająca wpływom Jules Guesde'a, Pawła Lafargue (zięć Marksa), Deville'a, Massarda, Dereure'a i Pauliny Mink. Druga znana jest pod nazwą „unii federacyjnej," a głównymi jej przywódzcami są: Benoit, Malou, Brousse, Deynaud, J. B. Clement, Labusquiere, radzca municypalny Joffrin i inni. Organem unii jest tygodnik *Proletaire*, mieniący się urzędowym stronnictwa robotniczego, ale praw tych zaprzecza mu federacya środka, która również miała własne pismo *Egalité*, niedawno upadłe. Kolektywiści urządzali ostatnimi czasy kongresy robotnicze w Hawrze, Reims, St. Etienne, rozporządzają oni 60,000 głosów, ale nie wszystkie syndykaty robotnicze ulegają przywódzcom; oprócz tego kilka wybitniejszych osobistości (np. deputowany marsylski Clovis Hugues, literat Henryk Brissac) nie należą do żadnej organizacyi, chociaż uważają się za kolektywistów.

Trzecią gałąź tworzą anarchiści, teraz dosyć głośni z powodu ostatnich procesów w Monteceau-les-Mines i Lyonie. Sądząc z tego, co wypowiedzieli przed sądem Emil Gautier i książę Krapotkin, podzielają oni teorye kolektywistów, różnią się zaś od nich tem, że dla wcielania swych ideałów nie potrzebują ani organizacyi, ani rządu, które uważają za wręcz szkodliwe. W tym względzie są antytezą blanquistów. Anarchiści, rozumie się, nie mają przywódzców, największej popularności między nimi używają: znakomity geograf Elizeusz Reclus, Bordat, Dufong, Cric i Bernard. Reclus wydaje w Genewie pismo p. t. *Revolté*, jego lyoński organ *Etendart revolutionnaire* z powodu procesu Krapotkina został zamknięty. Wszyscy wyżej wymienieni działają łącznie, zaś Digeon, Feliks Pyat, Lefrançais, Lissagaray i Ludwika Michel są anarchistami — każdy na swoją rękę.

Oprócz tych trzech grup, socyalizm francuski liczy w swych szeregach ludzi nieoddających się agitacyi, ale pracy naukowej. Takimi są: Wiktor Meunier, Wiktor Cousiderant, Cantagrel i wciąż jeszcze liczni, chociaż odosobnieni zwolennicy Proudhona i pozytywiści. Pozytywizm, który bądź co bądź zlekka zabarwiony jest socyalizmem, posiada przedstawicieli w łonie republikańskiej większości, zwłaszcza hołdują mu wzorem zmarłego przywódzcy gambettyści. Naukowej propagandzie i zbiegowi okoliczności więcej daleko, aniżeli agitacyom rewolucyjnym zawdzięczyć należy, że Rzeczpospolita francuska stara się rozstrzygnąć na drodze reform prawodawczych najpilniejsze zagadnienia społeczne.

P.

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

29 kwietnia.

Wolteryanin i karawan. — Postępowcy w służbie stańczyków. — Z powodu wyborów we Lwowie. — Jak my się popiszemy? — Kandydaci. —Schweiggeld.— Romans paryski. — Marzycielskie życzenia. — Z egzekucyi.

Gdyby me serce tak silnie biło dla postępu, jak pewnemu „wolteryaninowi" krakowskiemu, cóżby mi szkodziło wierzyć jednocześnie w nieomylność księdza Goliana, albo też handlować „cudowną" wodą z Lourdes? Zarobiwszy zaś na tem sporo — ja, wolteryanin — kupiłbym sobie suto obity srebrnym galonem karawan, na angielskich resorach—i odtąd, jako posiadacz najlepiej procentującej w Krakowie dorożki, spokojne prowadziłbym życie. Dniem woziłbym hrabiów na cmentarz, nocą zażywał wczasu, a nos mój płonąłby od szczęścia jak najwspanialsza pochodnia. Żadnych trosk, zgryzot, kłopotów; co najwyżej ogłoszenie jakiego zawistnego kundmana, że: „zamawiającym 60 pogrzebów naraz odstępuje się stosowny rabat" — zakłócałoby mi błogą pogodę życia. Obraz to szczęścia, być może nie dla wszystkich ponętny, ale bądź co bądź wolałbym już, „poręczając za szybką i elegancką usługę." wozić hrabiów na cmentarz, niż, jak pewni nasi dziennikarze, wprzęgać się do ich życiowego rydwanu.

„Lecz u nas tak — ciągną jak słomki" za lada wiatru powiewem; a choć im później różne dostają się *przydomki* — oni znowu ciągną. Jest to gust nader oryginalny, o którym tylko psychiatra mógłby wydać sąd właściwy. Jak zresztą ostatnim razem (podczas wyborów na posła we Lwowie) główną przyczyną, że szan. postępowcy poszli ręka w rękę z wyklinanymi przez nich stańczykami. była, jak wiadomo, osobista „gorycz" pewnych luminarzów z nad wonnej Pełtwi do Romanowicza. Bokserska walka, jaką tam stoczono, silnem echem obiła się o mury Wawelu. Każdy nowy cios, każde wprawniejsze pchnięcie ulicznego sztyletnika wywoływało radosną wrzawę, śród tych,

co pod tronem siedzą—
I swym bezkrwawym wyszydzają palcem
Człeka, co nie jest trupem — lub padalcem,

recte: stańczyków, którzy, gdyby mogli, poćwiertowaliby Romanowicza w kawałki, a *Nową Reformę*, jak żabę z łuku, wyrzuciliby pod obłoki. Szczęściem już po całej aferze! Oddycham, żyję i przed ołtarzem Jehowy składam dziękczynnie parę drobnych synogarlic na ofiarę. Bo i jakaż to rozkosz być pewnym, że się już nie tak prędko usłyszy dźwięczny głosik patryotów, wymytych porządnie i hożych, jak na etykiecie z gdańskiej wódki a od wiedeńskich oszustów pobierających dziennikarskie łapówki; jakaż to rozkosz nie słyszeć ani trzepotu nocnych puszczyków, ani tych wstrętnych sodalisów, ani też świergotu całej chmury — szpaków. Co za rozkosz wiedzieć, iż pewien wasz *piramidalny* polityk nie zaburzy już spokoju—śród szkap dorożkarskich na Teatralnym placu—zdaniem, że: „wybór Romanowicza pomąciłby nawet niektóre kombinacye, wchodzące w osnowę — przymierza austryacko - niemieckiego!!!" Wszystko to ucichnie, zgłuchnie, zapadnie się i przestanie „mącić niektóre kombinacye, wchodzące w osnowę przymierza" piramidalnego polityka z najprostszą w świecie logiką. Nieraz tylko jeszcze przypomni zapewne lwowianom krak. „straż pożarna" ostatnie wybory i, chwaląc tromtadratów, rzuci im w twarz urągowiskiem, że nakoniec, po kilkunastu latach daremnej siejby, powstali we Lwowie, jako mściciele dawnych „zwietrzałych haseł" — stańczycy! *Vae victis!*

Wykrzyk ten trzeba będzie niezawodnie powtórzyć 31 maja, jako w dzień naznaczonych dla Krakowa wyborów do sejmu. Wybieramy trzech posłów, a zdaniem mojem, powinniśmy wybrać wszystkich trzech — stańczyków. Najprzód bowiem wyglądałoby to bardzo ładnie i po części odpowiadałoby zarówno tradycyi Krakowa, jak i jego obliczu, powtóre: my tak lubimy zawodzić rzewne lamenty po niewczasie, że nie należałoby odmówić sobie tej małej przyjemności. Sądzę też, że będziemy względni na to i z urny wyborczej wyjdą wszyscy trzej członkowie „moralnego rządu," niby Kasper, Melchior i Baltazar—z p. Zatorskim na czele, który, jak wiadomo z przedwuletniej sesyi sejmowej, jest tak „cesarski z najbardziej cesarskich," że aż stronnictwo stańczyków w puch rozbija.

Powinniśmy niemniej wybrać ponownie posłem dra J. Majera, gdyż do sejmu, o czem wie każdy, potrzeba jak najwięcej, Bogu ducha winnych staruszków i wysłużonych prezesów. Ludzi młodych i energicznych uchowaj Boże w sejmie, jak zaczną obradować, gwarniej niż w ulu, a w kraju podjąć mogą jakie szkodliwe hasła. Nam nie potrzeba *budzików* — ale cykających zcicha zegarów. Jeżeli tak się urządzimy, dzisiejszy upadek kraju stanie się wkrótce tylko czczym frazesem. Natomiast nie powinniśmy dopuścić, aby mandaty otrzymywały takie mierne osobistości, jak dr. F. Weigel, wieloletni poseł z Izby handlowo-przemysłowej w Krakowie i zdolny pracownik w kierunku ekonomicznym. Znamy go już od paru lat, jako prezydenta naszego miasta, i mieliśmy sposobność przekonać się, że jest człowiekiem sumiennym, a lubo nie jada stańczyków na obiad—jest postępowym, po galicyjsku. Jako prezydentowi, zarzucićby mu tylko można pewien brak energii; ale za to, gdy w dzień świąteczny przypasze karabelę do boku a dzwony wawelskie zagrają rozgłośnie — postępuje przez ulicę tak napuszysto, jakby mówił: „Z drogi! otom ja król polski— Ferdynand I (nie ubliżając)."

Słychać także, że złuda, co — jak powiada Szekspir — „czasem i księdza plebana odwiedzi, gdy ten spokojnie drzemie, i ogonem dziesięcinnego wieprza w nos go łechce," złożyła swą miękką rączkę na ramieniu „upadłego anioła" z okręgu Bochnia-Wieliczka-Chrzanów — p. St. Koźmiana i rzekła mu: „Wstań stary i idź: może ci się choć tym razem uda gdzie zostać posłem." Twierdzą niektórzy, iż p. Koźmian posiada już nawet potrzebną mu do poselstwa końcówkę — brak mu tylko pierwszej litery. Jest to jednakże kiepski koncept, bo wiadomo, że „anioł upadły" z okręgu wyborczego: Bochnia-Wieliczka-Chrzanów rozumu, niestety, ma aż za wiele — za to ucz...! Gdyby potrzeba było w sejmie „aranżera" do dyabełka lub taroka — sam bym głosował za p. Koźmianem. Lecz tak — chyba może podjąć się tej operacyi tylko nasze patentowane przedsiębiorstwo agitacyjne, zaszczycone przed paru laty medalem zasługi za popieranie kandydatur hr. Mieroszowskich i Zatorskich — *Gazeta krak.* Panna ta zresztą wplątaną świeżo została w ohydną sprawę

lwowską, t. z. *Schweiggeldu* z *Länderbanku*, z czem jej wcale do twarzy. Utrzymuje jednak, że osławiony p. A. Rappaport z Wiednia był tylko osobistym akcyonaryuszem dziennika; ale widocznie nieszczęście chciało, że otrzymaną przez nią kwotę 1000 złr. znaleziono w rachunkach *Länderbanku*, właśnie jako wydatek ze znanej w sprawie Kamińskiego sumy 625,000 złr. Zdziwiło mnie też, że gdy *Schweiggeld* wypłynął na wierzch we Lwowie, wzmiankowane pisemko milczało jak zaklęte. Czemu się nie oburza — pytałem siebie zdziwiony — czemu milczy wobec takiego brudu, ono takie uczciwe, przystojne, gromiące lada pozór złego, pełne kazań na temat czystości rąk i patryotyzmu. Tu musi być jakiś „trup w szafie“ — pomyślałem — i nie myliłem się. Jakkolwiek zaś p. Rappaport był tylko „akcyonaryuszem“ — jak powiada gazeta — już to samo pięknie o niej świadczy. Dla tego, czem więcej będzie teraz wrzeszczeć o patryotyzmie i uczciwości, a odsądzać od czci i wiary pozytywistów, których także, jak wiadomo, nie mógł znosić zacny p. Rembertowski — będę pewny, że w szafie tej w Bogu i cnocie wiecznie rozmodlonej metresy stańczykowskiej, jak ją ktoś nazwał, coraz więcej... pachnie.

Co innego znowu „pachniało“ w szafie rodziny de Targy z *Romansu paryskiego*, sztuki O. Feuilleta, przedstawionej u nas w d. 21 kwietnia. Tajemnicą tą jest, że nieboszczyk Targy roztrwonił wręczony mu przez przyjaciela legat dla jego nieprawego dziecka, potem bankierowej de Chevrial. Zwrot legatu, przejście rodziny w stan względnego ubóstwa, oddanie się pracy, chęć uwiedzenia żony młodego p. de Targy przez barona de Chevrial, ucieczka tej ostatniej do Ameryki, wreszcie jej samobójstwo, gdy powraca do Francyi a Henryk ją odpycha — wypełnia treść sztuki. Całość zbyt porozbijana na epizody i powieściowa, wiele jednak scen podniosłych i znakomicie skreślonych, jak chwila przyjęcia zbłąkanej Michaliny na łono rodzinne. W scenie tej odbywa się do pewnego stopnia walka przekonań. Z jednej strony staje zacny dr. Chesnel, pozytywista, z drugiej p. de Targy, zapatrzona w niebo. Doktór wygrywa: p. de Targy stwierdza nakoniec czynem swoją wiarę w Boga — chwyta w objęcia wynędzniałą w tułaczce Michalinę.

Efektownym, lubo całkiem zbytecznym w sztuce obrazem jest akt czwarty. W wytwornie przystrojonym kwiatami salonie ucztuje wśród grona koryfejek baletu wyniszczony fizycznie nadmiarem życia baron de Chevrial. Toast za toastem wzlata w górę, pieni się szampan, biją gorączkowo serca i śmiech pusty wstrząsa powietrzem. Lecz koniec orgii smutny: baron chwieje się nagle i pada martwy — wśród grona rozszalałych baletnic i rozkosznie przygrywającej muzyki... Przypomniał mi się tutaj kiedyś zasłyszany wierszyk, ułomny co do formy, ale dziwne sprawiający wrażenie swem marzycielstwem. Autor pragnie, aby dłoń jego zastygła w ręku przyjaciela szczęśliwych chwil i tak powiada dalej:

Niech mnie otoczą kwiatami
I wpuszczą do izby słońce—
A za otwartemi drzwiami
Postawią kapelę grającą.

Zabroń jej pieśni żałobnej —
Niech jak czasu wesela
Walc jaki huczy nadobny,
Urżnie smykami kapela.

Słabnące ucho, niech jeszcze
Dźwiękiem konającym w dali,
Konając chwilę, popieszcze—
Zasnę jak w balowej sali...

Nie w sali balowej i nie wśród grona baletnic zakończył życie stracony niedawno w Krakowie Stanisław Góral, chłop z okolic Wieliczki. Kat założył stryczek na szyję, współwięźniowie żegnali szlochaniem, a mnich zaspany mruczał pacierze, ziewając. Dziesięciolat nie widział Kraków tej miłej operacyi. Jest ona wszakże nietylko zgodna z prawem, lecz i pojęciami religijnemi. Nikt bez woli Boga nie może opuścić tego świata, wszyscy schodzą na powołanie boskie — to pownik. Góral, aby dostąpić tego szczęścia, musiał najprzód popełnić morderstwo, a następnie jako zbrodniarz być powieszony.

Prawdzic.

Malarstwo polskie.

(Elwiro Michał Andriolli).

Ponieważ niekoniecznie jeszcze potrzeba posługiwać się farbami, ażeby zasłużyć na miano kolorysty, czytelnika zatem tak bardzo znowu dziwić to nie powinno, że na tem miejscu, gdzie miała być mowa tylko o malarzach, spotka dziś uwagi nad indywidualnością p. Andriollego, rysownika. Wyjeżdżając do Paryża ilustrować dzieła Wiktora Hugo i Fenimore'a Cooper, przerywa on, jeżeli nie w całości, to przynajmniej częściowo na lat kilka swoją olbrzymią działalność na polu sztuki polskiej, skazanej, jak widać, na stałe wypisywanie się z pod wszystkich jej chorągwi talentów co najwybitniejszych, co najwyraźniejszych, co najpłodniejszych. Chwila więc jest po temu.

Bez zaprzeczenia, p. Andriolli, jako rysownik, jako ilustrator naszych obyczajów i zwyczajów, naszych zabaw i kłopotów życia, naszych uczuć, naszej poezyi i naszych poetów, okazał się zawsze i wszędzie artystą o talencie niezwykłym. Jest to jednak talent, na który patrzeć z zajęciem można tylko zdaleka i rzadko, i o którym mówić pochlebnie można tylko ogólnie. Zbliska posiada on jedno, jedyne znamię dodatnie: łatwość, która obok niezmiernej płodności — czego mu ani za wadę, ani za winę poczytać nie można — jest źródłem wszystkich ujemnych stron jego talentu. P. Andriolli przedewszystkiem należy do rzędu tych artystów, którzy nie czują potrzeby ani pytania się, ani sprawdzania natury. Poznawszy w szkole, drogą rutyny, powierzchowną anatomię człowieka i sylwetkę ogólną ludzi i rzeczy, rysuje z pamięci postawę, ruch, wyraz, charakter, typowość, uczucie, poezyę, dramat, humor, słowem wszystko, co stanowi istotę sztuki, a czego inni artyści doszukują się w naturze, drogą ustawicznej obserwacyi i studyów.

Jeżeli jednak p. Andriolli nie obserwuje natury, ani życia, a nie obserwuje ich z pewnością, nie dowodzi to jeszcze bynajmniej, ażeby w całej swojej artystycznej działalności nie miał wychodzić po za zakres reguły szkolnej, akademickiej, bezdusznej, formalnej, konwencyonalnej. Przeciwnie. Układ scen, postawa figur, stosunek części ciała do całości, wyrazy, ruch, wszystko to u p. Andriollego jest zaprzeczeniem wszelkiej akademickności, wszelkich praw umówionych tworzenia i rysowania, zupełnie tak samo, jak u największych mistrzów rysunku, którzy parci wymaganiami temperamentu wypowiedzieli wojnę akademickiemu klasycyzmowi i stworzyli oryginalną, świeżą sztukę XIX wieku, z tą tylko różnicą, że tamci zerwali z wszelką konwencyonalnością, ponieważ byli oryginalnymi z natury już swojej, z usposobienia, p. Andriolli zaś potargał prawa i reguły szkolnego tworzenia, ażeby za jakąkolwiekbądź cenę być niezwykłym w kompozycyi i w rysunku nie mając temperamentu niezwykłego. Równie daleki od wszelkiej suchości akademickiej, w której piękność nie wierzy, jak i od żywości natury, której piękna nie widzi i nie czuje, zajął w sztuce takie stanowisko, na jakiem ani groty, wymierzane przeciwko spóźnionemu klasycyzmowi, ani wieńce rzucane naturalizmowi, wywalczającemu sobie prawa obywatelstwa w sztuce, dosięgnąć go nie mogą, i to jest oryginalną stroną jego działalności.

Lecz w tych warunkach nie można być oryginalnym inaczej, jak tworząc sobie styl nawskroś przesadny, wadliwy w szczegółach, zmanierowany, niezwykły na jeden raz, nudnie jednostajny na ciągłość. P. Andriolli nie umie narysować figury w spokoju, figury, któraby stała, siedziała, szła, mówiła, myślała, śmiała się lub cierpiała, nie karykaturalnie, nie umie stworzyć sceny, któraby nie była obrazem szpitala dla dotkniętych konwulsyami, nie umie pokazać drzewa, którego korzenie nie tarzałyby się w rozpacznych ruchach po ziemi, nie umie wyrazić uczucia, któreby nie było tragi-komicznem, nie umie uchwycić typu, któryby nie był śmiesznie przesadnym, nie umie byś fantastycznym, to jest nie plasko realnym, inaczej jak w teatralnie fałszywych linijach.

Wszakże w ciągu całej swojej olbrzymiej działalności artystycznej, nie pokazał nam ani jednego typu, pomimo ubiegania się o typowość. Kiedy p. Kostrzewski w swych szkicach niedbale rysowanych, lub w swych obrazach nędznie malowanych, przedstawia nam szlachcica polskiego, chłopa, dziewkę, żyda, niemca, pannę, dziecko, kucharkę, to z pewnością takich szlachciców, chłopów, dziewek, żydów, niemców, panien, dzieci, kucharek widzieliśmy setki i tysiące, gdyż p. Kostrzewski będąc genialnym obserwatorem życia i wybornie umiejąc uwydatniać charakterystyczne jego strony, pokazał nam rzeczywistość widzianą po przez temperament artysty. P. Andriolli nie obserwując życia wcale, jeżeli kiedykolwiek wznosi się do typu, to z pewnością albo tego typu nie widzieliśmy nigdy, albo widzieliśmy go już w którym z obrazów Matejki. Cały zresztą jego szlachcic polski jest w wąsach, w wąsach sumiastych, sążnistych, siwych, pokręconych: odjąć mu wąsy a stanie się w tej chwili niemcem, włochem, czechem, bulgarem, wszystkiem, byle nie szlachcicem polskim, którego artysta nie czuje wcale, jak o tem najlepiej zresztą przekonać się można z jego ilustracyj do *Pamiętników kwestarza* i do *Pana Tadeusza*, gdzie nie ma ani jednej twarzy, ani jednej postaci, któraby się w pamięć wraziła czemś innem, niż nieproporcyonalnie długiem ciałem, nogami powykoszlawionemi, rękami powykręcanemi, oczami poprzewracanemi, zmarszczkami zoranemi jak pługiem, głową łysą jak kolano, włosami wijącymi się wężowo koło za długiej lub za krótkiej szyi. Kiedy jednak jego starcy noszą na sobie przesadne znamiona już jeżeli nie typu, nie charakteru, to przynajmniej indywidualności samego p. Andriollego, za to młodzież, kobiety, dziewice, panny, dzieci słowem wszystko, co nie ma wąsów, jest znowu tak blade, tak pospolite, tak banalne, że doprawdy dziwić się należy, dlaczego p. Andriolli, który z takim wysiłkiem ugania się za jakąkolwiekbądź oryginalnością, nie umiał zdobyć się bodaj na jedną kreskę swoją, choćby przesadną, choćby fałszywą, byle swoją. Jego *Zosia* nie jest ani polską dziewczyną, ani dziewicą naiwną: nie ma ani typu, ani młodości. Jeżeli bowiem jest rysownik, nie mający z natury swego talentu nic wspólnego ze spokojem Mickiewicza lub humorem rubasznym Chodźki, to z pewnością p. Andriolli, który nie umie się zdobyć na spokój, a humoru nie rozumie inaczej, jak w krzyku opętańców.

Stosunkowo najlepiej przedstawiają się ilustracye do *Lilli Wenedy*, nie dlatego jednak, ażeby p. Andriolli miał głębiej przejąć się duchem Słowackiego, co byłoby

dziwnem, gdyż jeżeli artysta nie umie wniknąć w duszę zwyczajnego człowieka, to jakim sposobem mógłby umieć wniknąć w ducha geniuszu, ale dlatego po prostu, że jego karykaturalnie fantastyczna twórczość mniej razi między kartkami o nastroju legendowym, daleko wybiegającym po za poezyę rzeczywistego życia i rzeczywistej natury, niż w poematach olimpijsko-spokojnych. Szkoda tylko, że całą swoją fantastyczność, zarówno w *Lilli Wenedzie*, jak *Starej baśni*, jak wszędzie, gdzie tylko fantastycznym być trzeba i można, p. Andriolli kalkuje na ilustracyach Dorego w układzie scen, w postawach i proporcyach, a po części nawet i w ruchach. Rzecz prosta, że w tych warunkach nie można być inaczej fantastycznym jak Doré, to jest: rysując ludzi w fałszywych proporcyach ciała, z tą tylko różnicą, że kiedy Don Quichotte ze swojem ciałem dłuższem osiem, czy dziewięć razy (zam. siedmiu) niż głowa, ze swojemi cienkiemi nogami i chudemi rękami bawił oryginalnością, postacie p. Andriollego nudzą i nużą naśladowaniem oryginalnych błędów Dorego i brakiem charakteru tam, gdzie im wąsów przyczepić nie było można.

A przytem, w ostatnich czasach p. Andriolli, niezadowolony już szarpaniem samych tylko konturów, samej tylko sylwetki osób i przedmiotów, dla dodania większej oryginalności swojemu rysunkowi, wszystko rysuje w liniach krótkich, krętych, i wskutek tego tak dalece zaciera wszelkie różnice pomiędzy stanami, płciami i wiekami w kalejdoskopie czarnych, szarych i białych strzępków odzieży, że często niepodobna odgadnąć, czy patrzymy na starca, czy na pannę, na szlachcica w pstrem ubraniu, czy też na żebraka w łachmanach, zwłaszcza jeżeli do tej niepewności przyczynia się jeszcze kompozycya niejasna, bezładna i chaotyczna, jak zwykle, kiedy p. Andriollemu wypada wyprowadzić na scenę więcej, niż jedną postać.

A jednak niegdyś, przed laty, kiedy p. A. obserwował sceny z życia *Dworu wiejskiego*, ołówkowi jego nie brakowało ani prostoty, ani wdzięku, ani wytworności, ani poezyi, ani charakteru! Widocznie tworzenie z pamięci w ciągu lat kilku pochłonęło wszystkie zalety, a natomiast wydało jedną wyraźną wadę: dziwaczność w kompozycyi, dziwaczność w rysunku, dziwaczność w wyrazie, która stała się ostatecznie wykładnikiem jego indywidualności artystycznej, ku wielkiej uciesze wydawców i publiczności. Nie trzeba bowiem zapominać, że p. Andriolli jest po części ofiarą publikacyj artystycznych, które są tem w stosunku do sztuki, czem dzienniki do nauki i wszelkiego ruchu umysłowego. Jak tu tak i tam pierwej uwzględnia się gust publiczności, a później potrzeby sztuki i nauki; pierwej się patrzy na to, czy to się podoba a później dopiero, czy to co warte. Gdyby p. Andriolli był robił tylko to, co warte, co wiedział, umiał i czuł, nie byłby się podobał; a gdyby, podobawszy się raz, był chciał coś w swojej wyraźnej indywidualności zmienić, nie byłby już p. Andriollim ani dla wydawców, ani dla publiczności, nie byłby kupowanym. Jest to ten sam los, co i feljetonistów, których miejsce w sztukach plastycznych zastępują ilustratorowie.

P. Andriolli jednak, jako feljetonista rysunkowy, pomimo braku humoru naturalnego i zmysłu obserwacyjnego, ma olbrzymią zaletę, którą podbija swoich kolegów po ołówku: we wszystkiem, czego się dotknie, grają nerwy artysty, wszystko tchnie życiem płynącem z nerwów, na wszystkiem czuć nerwowość człowieka XIX wieku, który nie mogąc uśmierzyć choroby, wyzyskał ją w sztuce i zrobił sobie z niej indywidualność. Jeżeli więc w jego pracach nie ma „zdrowia i spokoju linij dzieł prawdziwie pięknych," jak w ilustracyach Liezen-Mayera do Fausta lub Flaxmanna do Iliady, to jest w nich taka gorączka, że wyróżniają się z pośród tysiąca i za tysiąc innych, poprawniej narysowanych, jaśniej skomponowanych staną — jest w nich takie życie w poczuciu sceny i taka barwność w wykonaniu, że pomimo wad zajmują.

Antoni Sygietyński.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Bazyliszek. **Skrzydła** komedya w 3 aktach. Warszawa.

Rozkładowe pierwiastki kapitalistycznego ustroju nigdzie może tak ostrej nie wywołują fermentacyi, jak w państwie kolei. Jeżeli drogi żelazne mają dla organizmu społecznego znaczenie naczyń krwionośnych (Spencer), to na ściankach tych żył i tętnie ze stali usadowiły się roje brudnych i szkodliwych pasorzytów. Od zawiadowców, budujących sobie letnie wille i pałacyki z „niepotrzebnych" materyałów kompanii — aż do najniższego stróża, *ciągnącego* na opał skradzione *podkłady* — wszyscy żyją tam i oddychają nienasyconą żądzą łatwych zysków. O wyjątkach powiedzieć można, iż należą do... wyjątków. Do tej to właśnie duszącej zgnilizną atmosfery wprowadza nas autor komedyi. Jesteśmy na stacyi jakiejś drogi żelaznej, a właściwie w jaskini łotrów i kretynów. Zawiadowca, którego autor nazywa *naczelnikiem*, uczciwy wprawdzie tą naszą tanią. zdawkową uczciwością, ale setnie głupi, daje się opanować manii bez sensownego wynalazku i, zaniedbując przez to obowiązki służby, znajduje w końcu — tylko groźbę dymisyi. Z niemiłej sytuacyi uwalnia go... hańba córki. Magazynier niejaki Mikstura — wytrawny złodziej i oszust, okpiwa dwóch specyalistów od brudnych sprawek — dwóch komisantów Chałajskiego i Szumowicza. Ci ostatni są rybami, dla których najulubieńszą krynicą jest mętne morze szwindlów i operacyj finansowo-kryminalnych. Kasyer Dworacki, intrygant i denuncyant, kopie pod *naczelnikiem* dołki, w które zresztą sam wpada. Kończy galeryę biuralista Rudowicz, idiota i żarłok niepospolity.

Personel kobiecy przedstawia się nie lepiej. Córka zawiadowcy, panna Ludwika, zmienia kochanków jak rękawiczki, a zawsze na korzyść więcej dającego. Zaletą jej jest cynizm, którym przekonania swe motywuje; lepsze to w każdym razie, niż udana „duma dziewicza," która po ślubie dopiero zaczyna swą rozpaczliwą gospodarkę w kieszeni złapanego męża. Karyerę zacnej dziewicy zamyka *nieślubne* sprzedanie się zwierzchnikowi ojca — staremu sybarycie.

Drugą i ostatnią w komedyi niewieścią sylwetką — jest pani Dydłowska — wdowa, utrzymująca bufet. Pierwowzorów jej szukać potrzeba w tym zwiększającym się dziś u nas szeregu kobiet. które za cenę małżeńskiego uścisku gotowe są zamknąć oczy na podłość, na hańbę i nawet na obojętność ukochanego.

Taką jest grupa szacownych osobników, z którymi ewentualni słuchacze będą musieli obcować przez trzy dość długie akty.

Wprowadzeniem bodajby jednej prawdziwie dodatniej postaci byłby autor nieco ożywił ponure tło obrazu i — niech będę optymistą! — byłby mu dodał więcej barw życiowych. Bez tego komedya robi wrażenie przykre i trąci zjadliwym paszkwilem.

Charaktery są jednolite i konsekwentne o tyle, o ile nie są karykaturą. Ta ostatnia najbardziej natarczywie wygląda z poza ramion zawiadowcy i Rudowicza, w których głowie autor umieścił zbyt obfite źródła głupoty.

Dowcip czysto zewnętrzny, polegający na grze słów, na częstych *qui pro quo* wrozmowie, wreszcie na wyzyskaniu klasycznego kretynizmu figur działających, wywoła zapewne z czasem gorąco uniesienie ogródkowej publiczności.

Forma komedyi rymowana, niestety! nie okupuje braków treści. Miara wiersza w każdym akcie inna, a w pierwszym najlepsza, skrępowawszy niemiłosiernie muzę autora, kazała jego *kolejarzom* mówić takim napuszystym i pretensyonalnym językiem, jakiego w lepszych utworach na szczęście już nie spotykamy. Dla tego też panna Ludwika np. przypuszcza iż jej kochankowi

...brak odwagi
Tłumi słowa w *piersi grobie*,

a wdowa, utrzymująca bufet, zapytuje znów swego adonisa, czy chciałby

...nosić *zbójców togę* —

zamiast go spytać, czy chce zostać zbójcą?

Pytanie, skąd pani Dydłowskiej przyszła myśl o *todze*, której zresztą zbóje nie noszą? Czyżby przypomniała jej o tem duża płachta, jaką przykrywała swoje sardelki i kajzerki na bufecie?

Komedyę pisał autor w Kijowie. Takie miejsce urodzenia jego Muzy tłomaczy nam, dla czego ta niebianka nie przyszła z *kupidynem*, ale z *kupidonkiem*, dla czego skóra boli nie *Rudowicza*, ale *Rudowiczowi*, dla czego Szumowicz pożycza pieniądze *u* Stalskiego, mogąc pożyczyć *od* Stalskiego i dla czego wreszcie zawiadowca *poręcza* jakąś sprawę Rudowiczowi, zamiast mu ją *polecić*.

Ostatni rusycyzm chętnie byłbym włożył na karb naszych zecerów, gdybym nie wiedział, jak piękne kwiatki rosną nieraz — za Bugiem.

M. B.

RELIGIE LUDÓW NIECYWILIZOWANYCH.

II.

Podniesiemy kilka ze spostrzeżeń, jakie uczynił p. A Réville, badając zarodki i rozwój pojęć religijnych. Zauważył on, że w pierwocinach wierzeń istota najwyższa, bóg, nie rozpada się na dwie osoby, na boga dobrego i złego, na białego i czarnego, ale jeden i ten sam bywa raz dobrym, znów złym. Dualizm następuje dopiero w epoce mitologicznej, w której też urabiają się ostatecznie wyobrażenia o nagrodach i karach w życiu przyszłem. Do tej też epoki odnieść należy spokrewnienie religii z moralnością, która w początkach nie ma z nią styczności najmniejszej, wówczas nawet, kiedy już życie przyszłe uważa się, jako rzecz pewna. Moralność szczepi się najprzód na ziemi i następnie dopiero przechodzi do miejsca pobytu dusz, uważanego pierwotnie, jako ciąg dalszy życia ziemskiego. W niektórych krajach afrykańskich, jak np. w Kimbunga, ludzie wiedzą szczegółowo o sposobie życia w *Kalunga* (przebywanie zmarłych). „Słońce tam świeci, kiedy na ziemi noc; żywności, napojów, służących płci niewieściej, jest tam tyle, ile kto chce; czas upływa na łowach i tańcach; jest to prawdziwy raj murzyński. Ale o wynagrodzeniu, o różnicy pomiędzy losem dobrych a złych, ani słowa." Wyobrażenie o ciągu dalszym życia ziemskiego idzie tak daleko, że wódz pozostaje wodzem, niewolnik — niewolnikiem i dla tego to, w miejscowościach niektórych, po śmierci króla mordują jego niewolników, żony, służebnice, konie, psy, grzebią z nim

razem odzież, uzbrojenie i zapasy żywności, ażeby mu w życiu przyszłem nie zbywało na niczem, do czego przywykł w ziemskiem. Dusze wodzów zamieszkują przybytki wspaniałe i wygodne; dusze ludzi pospolitych przebywają w lepiankach mizernych i zmuszone są w niebie pracować tak samo, jak pracowały na ziemi. Karaibowie wierzą w wieloduszstwo: mniemają oni, że do każdego w człowieku przymiotu jest dusza inna i dusze owe po śmierci zachowują związek ten sam, w jakim się znajdowały za życia. Są ludy, wierzące w przechodzenie dusz. We względzie tym rozmaitość jest wielka, mająca atoli mianownik wspólny—wiarę w życie przyszłe, urabiającą się pod wpływem dwóch podniet: troski o losy własne i wypływającej zeń czci dla ojców, dla starszych, dla wodzów i bohaterów. Z pośród tych ostatnich tu i owdzie niektórzy posuwają się na godność bożków, bogów. a nawet twórców świata i wszystkiego, co na nim jest. Indyanie brazylijscy twórcę świata i pierwszego człowieka łączą w jedno; jurakarowie zaś (plemię brazylijskie) człowieka wywodzą od drzewa, *ul*, zmienionego w człowieka, który pojąwszy w małżeństwo samicę jaguara, miał z nią syna, na imię Tiri. Ów Tiri nudził się sam na świecie, stworzył więc sobie towarzysza, Kana, z paznokcia palca wielkiego u nogi. Inni rzecz tę inaczej sobie przedstawiają, szukając po omacku przedmiotów, obudzających przedewszystkiem badawczą ciekawość ludzką i podążając ku odkryciu, albo raczej ku wytworzeniu istoty najwyższej, bóstwa, zrazu nieforemnego, następnie kształtującego się powoli w celu zajęcia w ostatku stanowiska środka ciężkości religijnej.

Gdy bóstwo jest, należy się mu cześć. Pod względem tym rozmaitość jest mniejsza, aniżeli pod względem pojęć o bóstwie; chodzi bowiem głównie o ofiary, które stanowią czci wszelkiej podstawę, o ofiary, składające się wszędzie jednakowo prawie co do istoty czci, polegającej na wielbieniu, prośbie i dziękczynieniu. Stąd wysnuwają się obrządki religijne. W ofiarach widzi p. A. R. dowód, potwierdzający daną przezeń definicyę religii. Oddawanie wszelako bóstwu tego, co człowiek posiada najlepszego, nie znamionuje jeszcze—zdaje się nam — dążności zjednoczenia się z niem. Autor też opiera się nie na tem, lecz na oddawaniu siebie samego częściowo, tu pod postacią obrzezania, ówdzie za pomocą obcinania sobie włosów, paznokci i kawałków palców. Obcinanie palców na ofiarę bóstwu istnieje śród niektórych plemion afrykańskich i, wedle p. A. R., oznaczać ma wchodzenie, wnikanie człowieka w bóstwo, tak jak u chrześcian ofiara bezkrwawa oznacza wnikanie bóstwa w człowieka. Czynność jedna i taż sama odbywa się w sposób odwrotny. Wątpimy jednak, ażeby się to tak tłomaczyć dało, przypuszczając raczej, iż cel ofiar wszelkich polega na błaganiu istoty, od woli której zależą losy zarówno jednostek, jak zbiorowisk ludzkich.

Obok religii, bez styczności z nią zrazu, następnie atoli w jak najściślejszem z nią związaniu, rozwija się stan kapłański. Zawiązki jego występują pod postacią czarnoksięstwa. Występują ludzie, posiadający tajemnice, które, tycząc się przedewszytkiem zdrowia, wkluczają z czasem losy. Rozwija się to stopniowo, aż utrwalają się pojęcia o duchach i tajemnice idą ku nim. Czarnoksiężnicy znajdują się w Afryce, w Ameryce i na wyspach; ludność lekceważy ich, pomimo że się do nich zwraca w chorobach, po zaklęcia i przepowiednie; ale biada temu, który oczekiwania zawiedzie: biją go, męczą, często na śmierć mordują. Dlatego to w krajach niektórych zawiązują się oni w stowarzyszenia, obostrzone próbami i nowicyatem, formując w ten sposób zawiązek stanu kapłańskiego, piastującego potęgę wielką—tajemnicę. Na podstawie tajemnicy owładają obrządkami i zakładają kościół.

Historya religii, wyłożona w ten sposób, jak ją p. A. Réville pojmuje, stanowi—zdaniem naszem— bardzo cenny do historyi cywilizacyi przyczynek. Jest to, o ile wiemy, pierwsza w zakresie tym praca zupełnie zaokrąglona. Początek dany. Spodziewać się należy, iż w kierunku tym nastąpią badania, które doprowadzą cywilizowany ogół do urobienia sobie jasnego pojęcia przedmiotu, najniepotrzebniej w świecie korcem przysłanianego.

T. T. Jeż.

WYKŁADY PRZYRODNICZE.

W zeszłym tygodniu skończył się szereg odczytów przyrodniczych na dochód Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego. Przedmiotem wykładów było żelazo w rozmaitych jego postaciach, sposoby otrzymywania i przetwarzania, główne własności i rozpowszechnienie w przyrodzie. Trafny ze wszech miar wybór tematu dał możność wielu pragnącym poznać choć w głównych zarysach ten najważniejszy i najpotężniejszy z metali, którego zastosowanie najgłębiej spoiło się ze wszystkiemi gałęziami przemysłu i niemal ze wszystkiemi potrzebami naszego życia.

Jeden tylko odczyt dra Jędrzejewicza treścią do tej seryi nie należał. Zjawisko przejścia Wenery przed tarczą słoneczną, obserwowane 8 grudnia 1874 i po raz ostatni 6 grudnia 1882 r., posłużyło za temat do bardzo ciekawej i pięknie spopularyzowanej pogadanki naukowej. Przejście Wenery przed tarczą słońca, służąc do obliczenia jego odległości, przedstawia dla nauki wielkie znaczenie, należy jednak do zjawisk niezmiernie rzadkich, a przytem powtarza się w nader niejednakowych odstępach czasu. Według obliczeń astronomicznych najbliższe przypadnie dopiero w roku 2004, a więc po upływie z górą lat 120. Dr. Jędrzejewicz uwidocznił słuchaczom to zjawisko nie tylko za pomocą odpowiednich rysunków, lecz i na przyrządzie bardzo prostej konstrukcyi. Lampa i dwie kulki drewniane (wyobrażając słońce, Wenus i ziemię) były dostateczne do uzmysłowienia tego położenia, jakie ziemia, Wenus i słońce zajmują w jednym kierunku, czyli w tak zwanem połączeniu dolnem. Wenus, znalazłszy się na linii, łączącej ziemię ze słońcem, zasłania nam to ostatnie, a raczej rysuje tylko na tarczy słońca drobny czarny punkcik, boć oczywiście zwrócona jest ku nam stroną nieoświeconą. Przypadek ten zdarza się bardzo rzadko, gdyż droga Wenery nie przypada na jednej płaszczyźnie z drogą ziemi, lecz pochylona ku niej pod pewnym kątem (7°).

W dalszym ciągu prelegent, skreśliwszy pokrótce historyczne dane, dotyczące samego zjawiska, opowiedział o wyprawach naukowych, niejednokrotnie przedsiębranych przez różne państwa, jak również o wysiłkach i energii tych bojowników nauki, którzy z godną uwagi wytrwałością i poświęceniem przysłużyli się nauce. Odczyt dr. Jędrzejewicza zarówno pod względem treści, jak i formy w zupełności zadowolił słuchaczów, a bodaj czy nie górował nad innymi.

Seryę wykładów o żelazie rozpoczął p. Milicer. Skreśliwszy znaczenie tego metalu, zaznaczył, że mniemanie, jakoby bronz sięgał dawniejszych czasów, niż żelazo, dla tego że bronzy przechowały się w starszych kurhanach, jest błędnem. Żelazo, jako mniej wytrzymałe i bardziej uległe wpływom atmosferycznym i działaniu wód, łatwiej niszczeje bez śladu. Nierównie łatwiejsze i prostsze sposoby otrzymywania żelaza w porównaniu z miedzią, główną składową częścią bronzu, każą przypuszczać, że ono istotnie pierwej było w użyciu, aniżeli ostatni. Dalej p. M., opowiedział, pod jakiemi postaciami występuje żelazo w przyrodzie a nieco dłużej zatrzymał uwagę słuchaczów na rudach żelaznych. Opisowi ich towarzyszył cały szereg doświadczeń, stanowiących jak gdyby jednolity łańcuch, nieprzerywany ani na chwilę objaśnieniami, a wszystkie wykonane były z zadziwiającą wprawą a nawet elegancyą.

Następną prelekcyę o związkach żelaza wygłosił p. Bronisław Znatowicz, który większą część odczytu poświęcił ogólnemu poglądowi na związki chemiczne, a w końcu przytoczył główniejsze związki żelaza. Szereg doświadczeń analitycznych i syntetycznych wykonany był udatnie. Zdaniem naszem odczyt p. Znatowicza, ze względu na treść bardziej ogólną, winien był poprzedzić lekcyę p. Milicera.

W dalszym ciągu od p. Pepłowskiego dowiedzieliśmy się, jakie rudy najkorzystniej używane są do wytapiania żelaza i w jaki sposób ten proces odbywa się w hutach. Historyczne dane, skrzętnie zebrane przez prelegenta, a dotyczące początku i stopniowego rozwoju hutnictwa w. Polsce, stanowiły najciekawszą część odczytu. Podczas objaśniania procesu wytapiania surowca z rud w tak zwanych piecach wielkich posiłkował się prelegent nie tylko rysunkiem, ale i doskonałym modelem, wykonanym przez uczniów szkoły technicznej drogi wiedeńskiej.

Wykład o wyrobie żelaza i stali przypadł w udziale p. Ludwikowi Wojnie, który prócz tego uzupełnił, podług naszego zdania, odczyt poprzedni, mówiąc o różnicy pomiędzy surowcem, stalą i żelazem kutem, tak pod względem chemicznym, jak i fizycznym, o ich naturze i praktycznem zastosowaniu. P. Wojno dał jasne i dokładne pojęcie o sposobie otrzymywania żelaza w piecach pudlingowych, o najważniejszych metodach wytwarzania stali (Bessemera, Martina i Siemensa drogą cementowania). Treściwy, starannie opracowany i nader przystępny wykład cechował sumienną prelekcyę p. Wojny. Kto uważał, skorzystał wiele. Niestety, smutno jednak było patrzeć na kilka jednostek płci pięknej, które niecierpliwie wyczekując końca zbyt może przydługiej pogadanki, przeszkadzały innym i literalnie zmusiły prelegenta do prędszego opuszczenia katedry.

W odczycie swym o maszynach dynamoelektrycznych pan Eugeniusz Dziewulski zużytkował taką masę materyałów naukowych, że ani ujmująca prostota wykładu, ani jego jasność nie mogły zapobiedz powstawaniu lekkiego bezładu pojęć w umysłach słabszych naukowo słuchaczów. Pomimo to jednak wymienione wyżej przymioty prelegenta, przyniosły publiczności korzyść. Tak przynajmniej mogliśmy sądzić z licznych rozmów, jakie umyślnie prowadziliśmy tu i owdzie z b. słuchaczkami p. D. wciągu kilku dni po jego odczycie.

Na zakończenie p. Kramsztyk w króciutkiej (ku wielkiej radości nadobnych słuchaczek!) prelekcyi mówił o żelazie kosmicznem, tłomacząc zjawisko gwiazd spadających, meteorów i bolitów.

Obowiązkiem jest prasy złożyć wszystkim bez wyjątku prelegentom szczere dzięki za poparcie ich uczynnością zacnej i dla kraju pożytecznej instytucyi.

M. R.

LIBERUM VETO.

Obraza p. Z. — Tanie mieszkania dla robotników francuskich. — Mądry szyldwach. — Pomysłowość nierozumu. — List obłąkanego posiadający zalety artykułu wstępnego. — Łatwy zarobek. — Głosik gila w rozdźwięku z własnym chórem. — Raz biało, raz czarno. — Najpoczytniejsze pismo. — Cofnięcie biletów powrotnych. — Handel i grzeczność. — Mimowolna reklama. — Niemiłe odkrycie. — Nowa epoka.

Rząd francuski zawarł umowę z *Credit foncier*, mocą której bank ten udzieli *przedsiębiorcom* kredytu 50 milionów fr. na urządzenie tanich mieszkań dla robotników, a 20 milionów fr. na pobudowanie domków, któreby drogą spłaty amortyzacyjnej mogły kiedyś przejść na własność rodzin robotniczych. Obu tych zdrożności nie może darować p. Waldeck-Rousseau jakiś „umysł głębszy" w *Kuryerze Warszawskim*. pieczętujący się literą Z. „Jeżeli — powiada on — pomieszkania w cenie 150 do 300 fr. oddane zostaną w ten sposób robotnikom, obudzi się niebawem pokusa w kołach drobnych kupców, urzędników i wszystkich wogóle niezamożnych do zażądania tegoż samego dobrodziejstwa od państwa." Obawa ta przypomina mi pewne zdarzenie. Podczas cholery u nas wystawiono za miastem barak, w którym składano umarłych, podejrzanych o śmierć pozorną i którego pilnował szyldwach. Raz budzi się jeden z letargicznych i woła do szyldwacha przez okienko:

— Hej, przyjacielu, otwórz drzwi i wypuść mnie.

— Milcz i siedź — odpowiada żołnierz— gdybym jednego wypuścił, to by zaraz wszyscy wyleść chcieli.

Z podobnem zrozumieniem swej powinności strzeże baraku społecznego p. Z.: nie chce dać robotnikowi taniego mieszkania, ażeby tegoż samego nie zażądali „wszyscy wogóle niezamożni." A gdyby zażądali i dostali? Byłby to „socyalizm państwowy" — powiada dziwnie w gospodarstwie społecznem biegły p. Z. Biedak, widział przelatującą pajęczynę babiego lata i sądzi, że był to jedwab. Socyalizm państwowy bowiem jest to teorya, która dąży do przeprowadzenia własności w posiadanie państwa, a ściślej mówiąc rządu, nie zaś do otwarcia kredytu *przedsiębiorcom*, mających zaspokajać potrzeby klas niższych. Ale mniejsza o tę pomyłkę, według której każdy wagon 4 klasy, uwolniony od podatku kolejowego, służyłby socyalizmowi państwowemu; p. Z. gotów przebaczyć tanie mieszkania dla robotników paryskich, ale „domków z ogródkami" strawić nie może. „Niema nic zgubniejszego — powiada — jak przyzwyczajać mało rozwiniętego intelektualnie człowieka fizycznej pracy do *łatwych* nabytków. Przestanie on wierzyć wtedy, że *tylko* praca surowa zapewnia dobrobyt i stwarza własność... Uposażenie robotnika niewinnym domkiem przez państwo może snadno wzbogacić szereg czynników *rozkładowych* dzisiejszego ustroju społecznego we Francyi, może stworzyć nowe źródło anarchii." Słyszałem już o krowach mówiących i o pchłach zaprzężonych do taczek, czytałem manifesty Chamborda i artykuły „samobytników," lecz przyznaję, że takiego rozumowania jeszcze nie spotkałem. Ostatecznie wierzę, że rozum nie jest nigdy tak rozmaity w pomysłach, jak nierozum, który na równi z czasem i przestrzenią granicznie ma. „Panie— pisał chory do lekarza domu obłąkanych— jeśli mnie stąd jutro nie wypuścisz, mój sąsiad krawiec nie będzie mógł wziąć miary na spodnie dla Egiptu, który przecie musi w nowym garniturze dowodzić pod Waterloo." Czyżbym przypuszczał, że list tego filozofa nadawałby się jako artykuł wstępny do „najpoczytniejszego pisma" w Warszawie? Bo posłuchajcie: jeżeli robotnik francuski będzie musiał przez *trzydzieści lat* oszczędnościami spłacić wartość domku, to — według p. Z.—jest „nabytek łatwy," który oduczy „czci dla pracy;" powtóre, jeżeli robotnicy posiądą własność osobistą (wykluczoną z socyalizmu), przez to „otworzy się nowe źródło anarchii." Panie, jeżeli mnie stąd nie wypuścisz itd. Sądząc z innych, równie nieopatrznych słówek p. Z., który zamiast reform, woli, ażeby zmiany społeczne przyszły „same z siebie, prostą logiką skutków i przyczyn," który własność przyznaje *tylko* pracy (usuwając spadkobranie), który w osobistem posiadaniu widzi niesłuszność — możnaby wnosić, że w pokrywach *Kuryera Warszawskiego* wylągł się jakiś Prudonik lub Marksik. Bynajmniej, tam świergocze zwykły swojski gil, któremu pomieszały się rozmaite melodye — kilka nut z wędrownej katarynki, kilka z pastuszej fujarki i parę wilczych tonów. Gdyby ów ptaszek, chcąc śpiewać konserwatywnie, znał tego rodzaju melodyę, wiedziałby, że właśnie inicyatywa państwa w poprawianiu doli robotników i pomaganie im do nabycia własności leżą w logice konserwatyzmu, a nie „anarchii." J. Paul słusznie powiedział: bieda jest jedynem brzmieniem, które staje się tem cięższe, im więcej ludzi je dźwiga; prawdę tę wyznaje każdy, tylko że socyalista pragnąłby zmniejszyć ten ciężar za pomocą zniesienia własności. postępowiec za pomocą stowarzyszeń sił drobnych i ograniczenia wielkich, konserwatysta zaś za pomocą filantropii możnych i rządu. Tego p. Z. nie rozumie i nie wie, że wprowadza rozdźwięk do własnego chóru, który niedawno jeszcze brzmiał pochwałami dla takiej samej myśli na gruncie naszym. Gdy ktoś błysnął projektem zbudowania tanich mieszkań dla robotników warszawskich, tenże *Kuryer* dostawał łaskawki z zachwytu — a dziś pod adresem francuzów opluwa sobie brodę, ktora mu wtedy wyrosła. Tak zawsze bywa, gdy współpracownicy nie mają wykształcenia a redaktor skontrolować ich nie umie.

Chociaż zwłaszcza w porze wynajmu letnich mieszkań *Kuryer Warszawski* systematycznie przeglądam, wyznaję szczerze, że nie miałem przyjemności do trzedz p. Z., który jest podobno sprawozdawcą politycznym tego pisma a na wzmiankowany jego artykuł zwrócono mi uwagę. Zakosztowawszy jednak rozkoszy, postanawiam karmić się nią częściej. Byłbym chyba nieprzyjacielem mojego i moich czytelników humoru, gdybym pomijał to drogocenne źródło. A czy nie lepiej byłoby całą tę krynicę pozostawić na uboczu? Ktoś parafrazując zdanie Montesquiego powiedział, że każdy naród ma takich żydów, na jakich zasługuje. Parafrazę tę możnaby rozciągnąć i na pisma. Po za uciechą z głupstw kryje się smutne świadectwo dla naszego społeczeństwa, że jego „najpoczytniejszem" pismem jest *Kuryer Warszawski*, ten *Kuryer Warszawski*, który śmie (podobno) 20 tysiącom ludzi powiedzieć, że biedny robotnik nie zasługuje na to, ażeby mu rząd dał tanie mieszkanie i pomógł do nabycia domku trzydziestoletnią pracą. Jeśli to oddziaływa, jakże wpływać musi na nasze uczucia i zasady społeczne, które chciałyby zażegnać dziś gwałtowną rozprawę rozumnemi reformami, albo po prostu objawić najzwyklejszą ludzkość? *A propos* panie Z., czyby pan czasem nie przyjął „domku z ogródkiem?" — Gdyby mi tylko dano — odpowiadasz. A jednak pan jesteś „mało rozwiniętym człowiekiem..."

Kolej warszawsko - wiedeńska zniosła bilety powrotne do Skierniewic dla tego, że nimi handlowano. To także ekonomia polityczna! Handlujący herbatą odstępują rabat nabywcom kilkudziesięciu funtów; odtąd powinni żądać poświadczenia rządców domu, że kupujący sam herbatę wypił. Bardzo słusznie. Za granicą bowiem zarządy dróg żelaznych są tak głupie, że wszelką sprzedaż biletów traktują jako interes: kto płaci powrót, otrzymuje rabat, a czy on sam będzie korzystał z prawa przejazdu, *das ist ihnen ganz Wurst*. U nas zawsze inaczej. Ustępstwo z ceny biletu nie jest procentem handlowym, ale grzecznością i dla tego ten sam osobnik musi wytłaczać poduszki wagonu w obie strony. Zarząd drogi w. wiedeńskiej powiedział sobie: trzeba naszym włóczykijom zrobić prezent i zniżyć opłatę powrotną ze Skierniewic do połowy. A spostrzegłszy, że niejeden włóczykij naśladuje zagranicznych, zawołał: handlujcie biletami?—basta!

Ale czy ja nie piszę „mimowolnej reklamy" dla zarządu roztropnej kolei? Z zarzutami teraz bowiem trzeba występować ostrożnie. Pisma nasze często ubiegały się za „wesołemi córami Koryntu," wzywając policyę, ażeby je spędzała z ulic i wyrzucała z domów. Pomijając zagadkę: jakim sposobem można jednocześnie pewnemu gatunkowi ludzi dozwolić mieszkać wszędzie i nigdzie, albo dla czego by ulica Wronia miała posiadać mniej praw do przyzwoitych mieszkanek, niż Nowy Świat, wysoce zabawnem jest ostrzeżenie jakiegoś przezornego obywatela, który w jednem z *Kuryerów* nasunął domysł, że zamieszczane w nich skargi na zaloty ulicznych rusałek służą często za „mimowolną reklamę" dla ich przedsiębiorców a nawet przez nich są nadsyłane. Tam do licha! Miłe położenie redakcyi dziennika, która spostrzega, że pewną część jego artykułów piszą zawiadowcy publicznych haremów. I ktoby był przypuszczał, że ich to ręka kreśli dla amatorów adresy pod tytułem: „nie ma Korpaczewskiego!" albo: „Kiedyż koniec!" albo: „Znowu zgorszenie!" Wobec odkrycia tego podstępu, pozostaje mi tylko uronić łzę nad jego ofiarami i pozbawioną rzetelnych wskazówek rzeszą, która odtąd błąkać się będzie po mieście i chyba stójkowych pytać, gdzie się przeniosła ulica Trębacka.

Życie nasze — według powszechnej opinii — jest czczem, co tydzień wszakże wypada w niem jakaś „epoka." To stary podatek zostanie wyegzekwowanym, to panna X. „głębiej" pojmie nową rolę, to śliwka przed czasem zakwitnie. W ubiegłym tygodniu taką „epoką" było wystawienie na naszej scenie Wagnerowskiego *Tannhäusera*. Sprawozdawcy powiadają, że operę tę, której na ziemi drugi raz nie usłyszę, a z nieba, jeśli ją tam grają, ucieknę, można ujrzeć w całym blasku czytając... libretto (święto przełożone przez p. M. Radziszewskiego). Każdy z nich powtarza z zapałem jego treść, ale o muzyce ani dudu tyle chyba, że jest bardzo piękna, bo jej nikt nie rozumie (a jednak ziewa!) Co do mnie, to najbardziej lubię operę, której całe libretto stanowi: *la, la, la...* podłożone pod piękny śpiew. Co tam sobie plecie Wolfram, Elżbieta lub Tannhäuser— to mnie bardzo mało obchodzi, nawet wtedy, gdy krzyczą:

Więc słuchaj mnie... i sądź
Z wiarą i skruchą większą, *niźli kiedybądź.*

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Dwa tory i dwie samobójczynie. — Ukojenie strapionego Bronisława przez „sympatycznego" Adama. — Co zrobiłbym z posagiem mojej żony. — Elegancki zwrot o nieeleganckich rzeczach. — Skargi mińskich kogutów. — Dwie sutanny. — Chustka do nosa za 22 rs. — Parlament w Zawichoście. — Z dawnych Inflant. — Po nici do kłębka.

Na niebie — pierwsze brzaski poranku. Przez step podolski przebiega wązki

pas kolei Południowo-Zachodniej. Na krańcach widnokręgu dostrzegasz się rozrzucone chaty cichej wioszczyny i omszałą kopułę starej cerkiewki. Z pochyłości spuszcza się olbrzymi pociąg, złożony z 50 wagonów. Nagle... bystre oko maszynisty dojrzało na plancie kolejowym jakąś ruszającą się istotę. Chłopiec — czy dziewczyna — nie wiadomo. Uklękło biedactwo pomiędzy relsami, rączki wzniosło ku niebu, a potem, naciągnąwszy na plecy i głowę stary kożuszek, upadło twarzą na ziemię, oczekując niechybnej śmierci. Zobaczywszy ręce do góry podniesione, maszynista postanowił z narażeniem własnego życia osadzić pociąg za pomocą silnej *kontr-pary*. Zatrzymał go o dwa kroki może od młodziutkiej, bo piętnastoletniej samobójczyni. Kiedy, odwróciwszy się, ujrzała, co się stało, chciała z boku wpaść pod koła ruszającego w dalszą drogę parowozu, ale konduktorzy wstrzymali ją przemocą i, przywiózłszy do najbliższej stacyi, oddali w ręce żandarmów.

Przyczyną zamachu na własne życie było nieludzkie postępowanie z dziewczęką jej rodziców. Jakoż ślady licznych szturchańców na twarzy biedaczki prawdzie jej zeznań wymowne składały świadectwo.

W taki, mniej więcej, sposób opisała *Gazeta Polska* smutny ów wypadek. Czytając to sprawozdanie, czułem niejaką wdzięczność dla wieprzów, zagryzających chłopskie niemowlęta w kołyskach i dla poetów, opiewających bogobojność naszych kmiotków... Płakać nad podolskim kopciuszkiem nie miałem czasu, gdyż niebawem, na wązkim torze naszego życia społecznego dostrzegłem inne maleństwo, pragnące również zakończyć dni swoje samobójstwem. Była to nasza młodziutka *autonomia gminna*... Ukląkłszy na drodze, wzniosła błagalne dłonie do Olimpu „wielmożnych pisarzów," okryła się starym kożuszkiem „powszechnej apatyi" (produkt baranów krajowych) i czeka śmierci. Przybrani jej rodzice—„Jaśnie wielmożny pełnomocnik" i „nic niemogąca opinia publiczna" okropnie ją maltretują i nawet okólnik gubernatora lubelskiego nie zdołał skruszyć tych istot zakamieniałych. Ciężar starego kożucha może sam przez się pozbawić życia młodą sierotkę, ale na tem nie koniec. Z góry pędzi na nią olbrzymi szereg 50 przeszło skrzypiących wehikułów, ładownych sieczką, wodą, wielką polityką i bukietami dla aktorek. Przelecą pewnie nad pacholęciem i pomkną dalej. Jakżebym pragnął być głównym maszynistą tego pociągu! Zatrzymałbym go w porę, gdyby mi nawet przyszło użyć tak barbarzyńskiego wyrazu, jak *kontr-para*.

Nie chciałbym tylko być konduktorem, a to z powodu niemiłego obowiązku „oddawania" samobójczyni w opiekę stacyi. Zresztą powinność tę pełni na gazeciarskim naszym parowozie p. Br. Zawadzki. Usadowił się on obok głównego maszynisty, strzegąc wagonu napakowanego polityką największej miary — i trudni się „łapaniem" i „oddawaniem" con amore. Pan Br. Z. jest znakomitym politykiem *swego* czasu, z którym tak się politycznie urządza, iż, marnując go na liche „przeglądy," zarabia dużo grosiwa. Niedawno „złapał" był i „oddał" sądom włoskim jakichś dwóch nieboraków, których prokuratorya nawet od kary śmierci uwolniła. Łagodny wyrok włoskiego areopagu wiele zdrowia kosztował pana Bronisława i jeżeli tenże nie dostał żółtaczki, to chyba rozweselila go radosna wiadomość o bogatem ożenieniu się jego kolegi — rozumie się, „sympatycznego." Gdybym miał połowę tych pieniędzy, nazywanoby mnie pewnie „przyjemnym."

Przedewszystkiem jednak poprosiłbym swoją najdroższą, aby choć małą cząstkę posagu posłała do Łęczycy, na korzyść wychowańców miejscowego seminaryum pedagogicznego. Znaczna ilość tych biedaków cierpi głód i nędzę. To też, gdybym był przełożonym zakładu i gdyby w mieście znalazł się jaki zacny rzeźnik, jaki Szulc lub Miller, coby ich darmo albo za pół ceny chciał karmić, nie broniłbym mu tego; niechby już sobie jedli; gdyby zaś jaka litościwa stróżka przynosiła biedakom bułki na pauzę, nie zmuszałbym jej nawet do zbytniej względem kupujących grzeczności, nie wymagałbym, aby, odbierając pieniądze, mówiła chłopcom „merci," albo „ich danke," niechby już im jakkolwiek po prostu dziękowała — tak, jak przyjęto w Łęczycy. Byle tylko jedli.

Wiem dobrze, co znaczy głód, a zwłaszcza okropny głód wrażeń, jakiego się doświadcza, czytając nasze gazety prowincyonalne. Wrażenia, zresztą czasem się otrzymuje, ale nuży ich jednostajność. Tak np. marnotrawstwo naszych lasów nie przestało mię nudzić, pomimo że gazety, pisząc o niem, wynalazły zwrot nowy i bardzo elegancki, „lasy ulegają znacznemu wycinaniu."

Mińsk Litewski, nie mając pod bokiem lasów, puścił na wody Swisłoczy kilka starych chałup z nadbrzeżnej dzielnicy miasta. Przestraszone koguty i kury, gdacząc na szczycie unoszonych przez fale budynków, zapytują żałośnie sławetnych obywateli, dla czego ani o swoim, ani o kurzym losie nie pamiętali; dla czego nie zabezpieczyli się przeciwko powodzi, kiedy poważna municypalność już przed dwoma miesiącami ostrzegała ich o niebezpieczeństwie.

Co do mnie, to chciałbym się teraz jak najszczelniej osłonić przed niebezpieczeństwem zarzutów, iż umyślnie wyszukuję plam na owych słońcach (powiedziałbym księżycach), które z okien wiejskich plebanij spoglądają *łagodnie* na ścieżkę, wiodącą owieczki wraz z ich runem do „przybytku" chwały i pociechy proboszcza. Nie wyszukuję ich wcale, same ukazują mi się z rozpaczliwą wyrazistością. Teraz np. spostrzegam rumianą twarz ks. dziekana. Siedzi on sobie pod wspaniałą, niedawno zbudowaną werendą, która prześlicznie odbija od czarnych, odrapanych ścian kościółka. A jednak 10,000 pobożnych parafian byłoby chętnie przyczyniło się do restauracyi zniszczonego budynku, gdyby... no gdyby ks. dziekan nie był tak zajęty werendą i grą w preferansa. Nie przeszkadzam mu jednak, aby mię za to nie wypędził tak, jak to się przed dwoma laty przytrafiło jednemu z jego wikaryuszów. Zresztą i bezemnie chce mu ktoś przerwać to lube zajęcie. Do werendy zbliża się nieśmiało jakaś kobiecina z sześciorgiem dzieci i czeka, aż *dobrodziej* zwróci na nią uwagę. Jest to wdowa po woźnym sądowym, który ją odumarł, zostawiając bez grosza. Litościwi ludziska, chodząc po domach, uzbierali dla niej około 20 rs: będzie czem pierwszy głód opędzić — żeby jeszcze *dobrodziej* pochował darmo!

I prości ludzie miewają swoje romantyczne zachcianki. Ale baczność!

Jest chwila, gdy się ma *księżyc* ukazać...

Jakoż ukazał się.
— A co to, Wojciechowa, pogrzeb?
Wdowa wybucha płaczem...
— Dobrze, dobrze, sześć rubelków, ale zgóry..."

Wszystkie się wtedy sieroty rozjęczą
Wszystkie sakiewki dźwięk wydają...

Ale nie „szklany" — tylko „srebrny," bo Wojciechowa płacze i liczy uzbierane dziesiątki i złotówki.

Wstrętny obrazek. Aby się rozweselić— choć ze mną czytelniku do Osiecka — do ks. Rychlika. Zacne czteczysko! Tego to możebym już i ja w rękę pocałował: od 54 lat jest księdzem i dotychczas nie tylko werendy, ale i butów całych jeszcze nie ma, za to ani jeden grosz wdowy nie obarcza jego sumienia. To też i ludzie o nim nie zapominają: dosłużył się już *proboszcza*.

Tak mi nieskończenie obrzydły te korowody z proboszczami, iż wolałbym nad nie, aby mi podczas kataru skradziono raz po raz trzydzieści chustek do nosa. Gdyby sprawa o taką kradzież sądzoną była w sądzie *stopnickim*, kosztowałoby mię 660 rs. i 3 miesiące czasu, nie licząc już pozwów, aresztów, sekwestrów i innych tego rodzaju „kuntentności." Materyałów do tego obrachunku dostarczyła mi jedna z korespondentek *Wieku*, która z powodu ukradzenia jej jednej chustki wartości *pół rubla* musiała kilkakrotnie opuszczać gospodarstwo na wsi i poniosła około 22 rs. rozmaitych kosztów. Dodać wypada, iż całą przyjemność korespondentka zawdzięczała uprzejmości strażnika ziemskiego, gdyż sama nie skarżyła nawet złodziejki. Fiat *justitia* (?).

Uprzejmości swego najbliższego zwierzchnika winien jest nauczyciel w Zawichoście uratowanie się od głodowej śmierci. Parlament miejscowy, a raczej jego partya konserwatywna, ulegając wpływom jakiegoś tuza, obrażonego za odkrycie w jego jedynaku przez pedagoga usposobień oślich, na nadzwyczajnem zgromadzeniu swojem uchwaliła: Małej opłaty nauczyciela podnosić nie trzeba, aby nie *wyzyskiwać* ciężkiej pracy obywateli. Pan nauczyciel powinien się zadowolić wynagrodzeniem *moralnem* — jest bowiem kapłanem nauki.

Daleko lepiej, choć bez parlamentu, radzą sobie z oświatą mieszkańcy dawnej ziemi inflandzkiej. Obywatele tameczni złożyli niedawno na ręce pana Chrapowickiego aż 30,000 rs. na założenie szkoły rolniczej w Dynaburgu lub jego okolicach. Lubię notować takie tysiące.

Ze „szpularni" żyrardowskiej przysłano mi cienką niteczkę, po której doszedłem do kłębka starych gazeciarskich matactw o naszej anielskości. Teraz już ani *Echo* poczciwych tradycyj, ani *Słowo* ukojenia i rozwagi, ani *Wiek* cichej pracy, w jakim żyjemy, ani szlachetna czy szlachecka *Niwa* pobożnych zasiewów, ani żadne świąteczne lub powszednie pisaniny „o dobrych panach" i „pracowitych kmiotkach" — nikt i nic zgoła nie przekona mię, iż jesteśmy narodem wybranym. Uwierzę chyba wtedy, gdy sam jeneralny na 10 guberuij reprezentant wszystkiego co dobre, szlachetne i piękne wybuduje na Placu teatralnym olbrzymią dźwignię, popychającą słońce ku wschodowi i rzucającą tygrysy w paszczę baranów.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 2 maja.

Zatwierdzenie noweli szkolnej austryackiej.—Bezrobocie piekarzy w Wiedniu. — Projekt ubezpieczeń robotników w sejmie niemieckim. — Nędza ludu w Szkocyi.—Bezrobocie tragarzy portowych i majtków w Marsylii. — Zgromadzenie anarchiczne robotników w Madrycie.

Nowela szkolna, o której piszemy na innem miejscu, utrzymała się w austryackiej Radzie państwa, ale jej kołyskę zasypało mnóstwo protestów i petycyj od gmin i różnych instytucyj. Silna agitacya w tym kierunku zbiegła się z zaburzeniami i świętowaniem robotników piekarskich w Wiedniu, którzy również przyjmowali udział w rozrzucaniu plakatów noweli nieprzyjaznych.

Zmowa ta, naprzód cząstkowa, przybrała nagle, bo w ciągu 24 godzin, bardzo wielkie rozmiary. Układy, toczone w magistracie, nie doprowadziły do porozumienia. Żądania zbuntowanych na pozór były dość wysokie, a właściciele zakładów nie chcieli zrobić najmniejszych ustępstw. Dzienniki demokratyczne wiedeńskie wykazują, żeistotnie robotnicy piekarscy byli płatni źle, że przedsiębiorcy mogą i powinni im bez namysłu podwyższyć zarobek.

Wogóle w ostatnim tygodniu bezrobocia na wielką skalę, rozprawy parlamentarne nad poprawą bytu klas pracujących lub tłumienie tych ruchów stały na porządku dziennym. Nie było dnia prawie bez ważnych lub jaskrawych objawów w tym kierunku.

W Berlinie przy obradach sejmowych nad projektem o kasach dla chorych robotników, przy § 1 i 2 postawiono aż pięć rozmaitych wniosków. Postępowcy chcą oparcia ubezpieczeń robotniczych na innych podstawach, jak w projekcie rządowym, demokraci socyalni domagają się jeszcze szerszego rozwinięcia ich. Stronnictwo postępowe chce tylko, aby przymus asekuracyjny nie był ogólnie obowiązujący, lecz stosowany tam, gdzie gmina uważać będzie za potrzebne go zaprowadzić. Demokraci socyalni natomiast żądają, aby ubezpieczenia rozciągnąć nie tylko do robotników, lecz na daleko szersze sfery klas pracujących; mianowicie do wszystkich mieszkańców, którzy ukończyli lat 15 i mają dochód nieprzenoszący 7 i pół marek dziennie.

W Wielkiej Brytanii do opłakanego położenia Irlandyi, ostatniego wybuchu dynamitu pod rządową fabryką broni w Enfieldzie i olbrzymiego pożaru składów bawełny w Liverpoolu przybywa nowa smutna ilustracya tamecznych stosunków. Pismo *Weekly Dispatch* ogłosiło odezwę do lorda mera Londynu, podpisaną przez wielu członków parlamentu, o pomoc dla ludu szkockiego. „Straszna nędza — mówi odezwa — panująca od niejakiego czasu w Szkocyi zachodniej, przybierająca coraz szersze rozmiary, zniewala nas uciec się do waszej pomocy. W niektórych okolicach lud znajduje się w straszliwem położeniu. Mieszkańcy są tam literalnie pozbawieni wszelkich środków życia. Bez natychmiastowej pomocy pieniężnej dla zakupu niezbędnych ilości chleba, nic nie zdoła powstrzymać wybuchu rozpaczliwego. Mamy nadzieję, że wasza dobroczynna pomoc doprowadzi do lepszych rezultatów i w tem przekonaniu błagamy was o współdziałanie.“ Wskutek odezwy tej utworzono w Londynie specyalny komitet dla zbierania składek, a wiadomości, nadchodzące z różnych stron Szkocyi, potwierdzają faktami nader smutny stan rzeczy.

Jednocześnie we Francyi po licznych rozruchach, obecnie przewłóczy się jeszcze złowrogie świętowanie robotników portowych w Marsylii. Wedle ostatnich wiadomości tameczny komitet wykonawczy bezrobocia zbiera ciągle obfite składki na zaspokojenie bieżących potrzeb. Na ostatniem zgromadzeniu, w którem przyjęło udział przeszło 2,000 członków, nie powzięto stanowczej uchwały, a przedsiębiorcy ze swej strony nie chcą słyszeć o żadnych ustępstwach. Komitet bezrobocia ostrzega wszystkich towarzyszów z warsztatów i wybrzeża, aby nie dawali wiary pogłoskom, rozpuszczanym przez przedsiębiorców, że niektórzy robotnicy wracają do pracy. Oświadcza on, że pomiędzy członkami korporacyi panuje zupełna solidarność i że żaden z nich nie powróci do pracy, dopóki wszyscy nie będą zaspojeni.

W Madrycie również odbyło się zgromadzenie publiczne oddziału wielkiego związku robotników hiszpańskich. Mówca anarchiczny otworzył narady długą przemową i oświadczeniem, że federacya madrycka, potwierdzając uchwały przyjęte przez anarchistów w teatrze del Recreo, postanowiła protestować energicznie przeciwko samowolnym środkom, których ofiarami stali się ich towarzysze w Andaluzyi. Wskutek tego komisarz rządowy zażądał rozwiązania zgromadzenia. Zebrani oparli się. Sędzia śledczy przy pomocy policyi rozkazał aresztować mówcę i kilkanaście osób bardziej opornych. Niezliczone tłumy ludu odprowadzały aresztowanych aż do więzienia.

Śledztwo i rewizye, dokonane w mieszkaniach aresztowanych, wykazały, że rozległa propaganda międzynarodowego związku robotników przybiera i w Hiszpanii coraz szersze rozmiary.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Karygodna nieprzezorność. Już dawniej domagała się prasa galicyjska zreorganizowania obrony krajowej (landwery) w ten mniej więcej sposób, aby odpowiadała podobnym instytucyom militarnym w Tyrolu albo Węgrzech. Obecnie sprawa ta weszła na porządek dzienny obrad wiedeńskiej Rady państwa w formie noweli do ustawy o landwerze austryackiej. Że nowela owa, jeżeli uchwaloną zostanie, nie zaspokoi bynajmniej żądań galicyjskiego społeczeństwa, jest więcej, niż pewnem, bo wiadomo dobrze, iż rząd austryacki w najmniejszym drobiazgu zadokumentować musi zawsze znaną swoją połowiczność. Mimo to i właśnie dlatego prasa tamtejsza, chociaż nie spodziewa się, aby głos jej został wysłuchany, usiłuje przekonać zarówno rząd, jak i zatopioną w drobnostkowych sprawach delegacyę, iż zapoznawanie doniosłości tak ważnego przedmiotu jest ze wszech miar karygodnem i zgubnem w następstwach.

„Reorganizacya obrony krajowej — pisze *Gazeta narodowa* — doniosłość posiada podwójną. Ważną ona jest zarówno dla monarchii, jak i dla naszego kraju. Obydwa względy są tak silne, że już nie dziwić się, ale oburzać trzeba, że ani rząd, ani delegacya galicyjska nie zajęły się dotychczas sprawą tą w tej mierze, jakiej wymaga interes ludności. Ogołocona z wszelkich środków obronnych prowincya nasza, nieposiadająca ani twierdz, ani dróg strategicznych, ani naturalnych granic, jak morze, rzeki lub góry, któreby ją chroniły do pewnego stopnia od najazdu, odcięta górami od reszty krajów monarchii i pozbawiona szybkiej od nich pomocy— powinna posiadać odpowiednią zasłonę przynajmniej w ludziach, w obronie krajowej, któraby zdołała stawić najezdcy opór należyty do tej choćby pory, dopóki ciężko uruchomiająca się armia państwowa nie nadeszłaby z pomocą.

Trzeba przyznać, że taka landwera, jaką obecnie posiadamy, nie gwarantuje nam wcale bezpieczeństwa. Porównajmy ją z obroną Tyrolu. Kraj ten, którego liczba mieszkańców wynosi zaledwie piątą część ludności Galicyi, posiada 22,000 strzelców krajowych konnych i pieszych. Prócz tego posiada w czasie powszechnej mobilizacyi 136 tysięcy pospolitego ruszenia. Czyli oprócz kontyngensu, dostarczanego armii państwowej, wystawić może Tyrol 158 tysięcy wojska!

Gdyby przepisy, dotyczące Tyrolu, obowiązywały i u nas, powinniśmy mieć jakie 110 tysięcy żołnierza pieszej i konnej obrony krajowej a w razie najazdu stawić do pospolitego ruszenia 680,000 ludzi. Tymczasem landwera w jakiejś tam dopiero cząstce dorównywa powyższej idealnej cyfrze, a pospolite ruszenie nie jest u nas nawet znanem!..

To pozostawienie nas bez opieki o pomstę woła do niebios na tych, co bezpieczeństwo kraju i monarchii bagatelizują do tego stopnia! Ale gdy rząd zapoznaje najżywotniejsze interesy monarchii, powinnaby przynajmniej reprezentacya nasza zająć się tą sprawą biorąc pod uwagę, że tu chodzi już nie o mniejszy lub większy wymiar podatku dla właścicieli większych posiadłości, ani o prawo propinacyi, ale o kwestyę bez porównania ważniejszą, kwestyę bytu albo niebytu!..“

Rząd wiedeński i prawica austryackiej Rady państwa weszły z sobą w związek tak nienaturalny, że niezadowolonemi czują się nader często obie połowy tego dzikiego małżeństwa. Trzeba nadto zważyć, że w małżeństwie tym piękniejszej połowy nie stanowi wcale jedna niewiasta, ale — cały harem, złożony z kłócących się ciągle ze sobą odalisek. Jak nienaturalnym jest ten sojusz pojedynczych klubów prawicy, tudzież tej ostatniej i rządu, wykazała może najlepiej rozprawa nad nowelą szkolną, którą konserwatywni niemcy wymusili formalnie na swych słowiańskich sprzymierzeńcach. Nie życzyli jej sobie czesi, nie życzyli polacy, którzy zgodzili się na nią dopiero po zawarowaniu odrębnego dla Galicyi stanowiska, nie chcieli jej słowieńcy i dalmatyńcy, wzdragali się przeciw niej i hohenwartczycy, ale że się jej domagali pp. Lienbacher i książę Lichtenstein wraz z kilkunastu niemcami a poparł ją rząd, więc nowela została ostatecznie przyjętą. Ale jaką większością? Trzy głosy przeważyły zaledwie szalę rządu...

„To też rząd i prawica — czytamy w *Nowej Reformie*—muszą sobie zadać pytanie, czy tak można długo rządzić? Co będzie, jeżeli kiedy w jakiej ważnej sprawie ta tak nieliczna większość stanie się mniejszością? I jest bardzo możliwe, iż na to pytanie daną będzie odpowiedź w rozwiązaniu Izby.

Obie strony mogą być z siebie niezadowolone. Rząd—że mu prawica nie może dać poważnej, pewnej większości; prawica zaś w swej znacznej większości, że ten rząd stwarza jej tak przykre położenie, iż projektami swymi zmusza bardzo znaczną część prawicy do głosowania wbrew przekonaniu. Rząd ma wszelkie prawo zapytać prawicę: jak się można stale na was opierać, skoro większość wasza wynosi co najwyżej kilkanaście głosów, które jeszcze do tego są niepewne? Prawica, a właściwie jej autonomiczna większość, zapytać znów może rządu: jakże chcesz poważną znaleść większość, skoro zaniedbujesz zupełnie hasło, na prawicy przeważnie decydujące, hasło samorządu?!

Wyznajemy, że rozwiązania Rady państwa bynajmniej się nie lękamy. Zdaje nam się przeciwnie, że po nowej ordynacyi wyborczej przyszła większość autonomiczna byłaby silniejszą i nie musiałaby na każdym kroku oglądać się na Lichtensteinów, którzy obecnie trzymają w swym ręku szalę rozstrzygnień Izby. Jeżeli od tego żywiołu oswobodzi się prawica i stanie, jako czysto autonomiczny i narodowy obóz — wtedy, ale tylko wtedy, oparty o nią rząd znajdzie jasno wytknięty program, a z nim i racyę bytu silniejszą od samej negacyi, od samego tylko anticentralizmu.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Miasto Płock wyasygnowało 10,000 rs. na założenie 4-klasowej szkoły miejskiej.

— W Winnicy rada miejska postanowiła podjąć starania o pozwolenie utworzenia tam średniego zakładu naukowego. Na ten cel zebrano już 50,000 rs.

— W Instytucie komunikacyj w Petersburgu dwa pierwsze kursa zostają zniesione, na trzeci zaś przyjmowani będą kandydaci, składający świadectwa ukończenia wydziału matematycznego lub wyższych szkół technicznych. Liczba wakansów corocznych ma być ograniczona do 40.

— Szkoły realne będą stanowczo otwarte z początkiem przyszłego roku szkolnego w Lublinie i w Kaliszu.

Zapis. Emigrant Piątkowski zapisał 56,000 fr. na utworzenie szkoły we wsi Piątki-Borowe w gubernii Płockiej.

Berdyczów ma być sprzedany za sumę 900,000 rs. O kupno traktuje rząd a także konsorcyum złożone z mieszczan.

Teatr. W niedzielę 29 z. m. wystawiono w Teatrze Wielkim operę Wagnera *Tannhäuser*.

— Z początkiem sezonu letniego danym będzie dramat Szekspira *Sen nocy letniej*.

Firma Hachette, mająca wyłączne prawo sprzedaży książek na dworcach kolei, usunęła z tego handlu naturalistyczne romanse, w tej liczbie najnowszą powieść Guy de Maupasanta *Une vie*.

Wykłady. 30 kwietnia s. s. odbędzie się publiczny odczyt p. F. Bogackiego w Odesie w języku polskim „o rodowodzie liczb“ na rzecz kat. Towarzystwa dobroczynności.

Wypadki w Żyrardowie (według komunikatu). Przed kilku tygodniami wprowadzono w fabryce nowy gatunek przędzy a ponieważ według zdania zarządu fabryki robota miała być łatwiejszą, zniżono więc płacę o $1/2$ i kopiejkę na motku. Część robotników przestała pracować, z kolei zabrakło przędzy w innych działach fabryki. Robotnicy dopominali się o zajęcie z początku łagodnie, później zaś wystąpili tłumnie, żądając lepszej płacy i zniesienia kar. Wezwane wojsko zaaresztowało kilku niespokojnych, wtedy wieczorem 23 z. m. przed aresztem zebrał się tłum ludzi, zaczęto rzucać kamieniami na wojsko. Dowodzący wartą podoficer kazał wystrzelić naprzód ślepymi a później ostrymi ładunkami. Zabito 3 ludzi, raniono 5. Na drugi dzień przybył gubernator warszawski i wojsko. Obecnie ludność uspokoiła się i roboty w fabryce rozpoczęły się na nowo.

Statystyka. W końcu 1881 r. Praga czeska miała 246,327 mieszkańców. Językiem domowym 208,277 osób był czeski. Wobec tego faktu dziwnie wygląda oburzenie niemców. że burmistrz Czerny nazwał Pragę miastem czeskiem.

— Statystyka irlandzka podaje pouczające liczby. W początku bieżącego stulecia zaledwo 400 ludzi na całej wyspie umiało czytać i pisać po iryjsku. Prześladowanie obudziło patryotyczne uczucia irlandczyków. W 1872 r. 818,000 osób mówiło po irlandzku, a chociaż ludność zmniejszyła się od tego czasu o 252,000 osób, mimo to jeszcze 132,000 irlandczyków przyswoiło sobie język rodzinny.

Profesorowie polacy za granicą. W bieżącem półroczu następujący polacy zajmują katedry profesorskie na uniwersytetach niemieckich. W Wrocławiu Nehring wykłada historyę polską a Miaskowski naukę o finansach. W Bonn katedrę botaniki zajmuje Strasburgier a w Strasburgu Witkowski. W Berlinie Brykner wykłada historyę polską. Nadto w Berlinie, Wrocławiu i Królewcu są lektorzy języka polskiego.

Pożary. W zeszłym tygodniu spalił się dom przy ulicy Łuckiej, w którym spłonęło 16 ludzi. Pogrzeb tych nieszczęśliwych odbył się z wielką uroczystością.

Bibliografia polska. J. Łoski *Jan Sobieski*, jego rodzina, towarzysze broni i współczesne zabytki, Warszawa. Dzieła tego, mającego zawrzeć 50 rycin, wyszedł zeszyt 1 w wielkim formacie arkuszowym. Wydanie okazałe.

Zmarli. H. Schultze-Delitsch, nestor partyi postępowej w Niemczech, słynny twórca spółek, znanych pod jego imieniem. zmarł w Potsdamie, mając lat 75.

— Juliusz Sandeau, przyjaciel George Sand, powieściopisarz francuski.

— Napoleon Orda. rysownik. muzyk i literat.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. D. „Jutrzenka“ jest dla naszego pisma zbyt specyalną.

Prenumeratorowi z Łowicza. Zarówno na pocztę jak do księgarń *Prawdę* oddajemy w sobotę.

Em. Z nadesłanych faktów będziemy chcieli skorzystać, o dalsze prosimy.

Julianowi N. Wystarcza — bez osobnego egzaminu praktykować nie wolno.

Ziemowitowi. Wiersz Pański nie odpowiada ani jednemu warunkowi—poezyi.

P. G. Z. Ależ Panie szanowny, my nie bronimy zasadności wywodów tego oponenta, tylko prawa jego do głosu nawet wtedy, gdy mniej przekonywa niż bawi. We wszystkich parlamentach występują mówcy z długiemi i najniedorzeczniejszemi perorami, a jednakże prezydent głosu im nie odbiera dla zasady, dla tej zasady, która również ubezpiecza przemówienia rozumne, gdy się większości nie podobają.

P. A. R. W wyjaśnieniu naszem co do sprawy zapisu Sierakowskiej nie tkwi wcale myśl, jakoby wykonawcy testamentu „chcieli pozbyć się powierzonego im mandatu.“ Tego punktu nie dotykaliśmy wcale, do żadnego więc posądzenia materyału on dać nie może!

Uczniowi szkoły realnej w Ł. Wydana część I, zawierająca Algebrę elementarną (1879, str. 896, franków 12).

P. Al. Br. Nie — największą śmiertelność wykazuje Madryt (54 na 1000) — najmniejszą Karlsruhe (17). W każdym razie Warszawa należy do gorszych (41,5). Największy dyfteryt zeszłego miesiąca panował w Londynie, Paryżu, Madrycie i Petersburgu, szkarlatyna zaś w Petersburgu i Londynie.

OFIARY.

Dla nędzy wyjątkowej. Wiśniewski z Dzierzbina kop. 50.

Na pomnik Mickiewicza. Mioduszewski z Suchodor kop. 50.

Dla niezamożnych uczniów. Antoni Kropla z Rumunii rs. 8.

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Апрѣля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.